

BLUSZCZ

*spoleczno-literacki ilustrowany
tygodnik kobiecy*



Nr. 8—24 lutego 1934 r.

Cena 1 zł. 20 gr.

W a r s z a w a,
S o l e c 87

„BLUSZCZ“
społeczno-literacki tygodnik

W a r s z a w a,
pl. Z a m k o w y 9.

telefon 2-44-18.

czołowy organ prasowy
kulturalnych sfer kobiecych

telefon 2-39-40.

Redaktorzy: *STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW* (naczelnia) i *MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW*
Dział robót pod kierownictwem *JADWIGI KORZENIOWSKIEJ*
Dodatek „Wychowanie i szkoła” pod kierownictwem *WANDY BORUDZKIEJ*
Redakcja i Administracja: Warszawa — Solec 87, tel. 2-44-18 i 5-87-05.

KLISZE WYKONUJĄ WŁASNE ZAKŁADY FOTO-CHEMIGRAFICZNE.

Treść numeru:

Mózg i płeć w radzie miejskiej — *Janina Strzelecka*. Jak być szczęśliwym w małżeństwie — *Magdalena Samozwaniec*. Aniska — *Zofja Kunicka*. Świątki i obchody litewskie — *W. B.* Sztuka ukraińska w I. P. S-ie — *S. P. O.* Surowy trybunał litości — *St. Osinińska*. A może maharani? — *I. L.* Poezje: Myślę o tobie... — *Janina Brzostowska*. Krwawe dni paryskie — *Dr. M. Kasterska*. Wychowanie i szkoła: My, nowe hasła i nasze dzieci — *Zofja Sikorska-Bogusławska*. Bracia i siostry — *Hanna Koryzna*. O potrzebie kultury muzycznej — *prof. Wl. Burkarth*. Kokieterja — *m. b.* Nasz lekarz: O biologicznej tragedji kobiety — *Jadwiga Krawczyńska*. Dur plamisty — *Dr. J. Trzebiński*. Higjena ucha — *Dr. med. Zofja Rostkowska*. Odpowiedzi działu lekarskiego. Z teatrów — *S. P. O.* Z ubiegłego tygodnia — *H. N. Ś. p.* Dr. Zofja Daszyńska-Golińska. Kobieta w świecie i w domu. Nasza mównica: Jeszcze o „dożywianiu moralnem” — *Pola Pawłowska*. Ogrodnictwo i hodowla: Jakie odmiany warzyw wysiewać? — *Marzenna Saryusz-Stokowska*. Wiosna w kurniku i legi naturalne — *Marzenna Saryusz-Stokowska*. Odpowiedzi działu ogrodniczo-hodowlanego. Dom i gospodarstwo: Absurd czy higjena — *Wanda Dobrzańska*. Przepisy gospodarskie — *Melba*. Książki nadesłane do Redakcji.

WARUNKI PRENUMERATY:

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie—45 zł., kwartalnie—13.50 zł., rocznie—54 zł.

Do innych krajów miesięcznie — 6 zł. Zmiana adresu — 50 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszcza” — Warszawa, Solec 87 i pl. Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — WARSZAWA Nr. 3700.

W y d a w c a : Tow. Wydawnicze „Bluszcza”, Sp. z ogr. odp.

Pracownicy umysłowi korzystają z 20% ustępstwa.

WARUNKI OGŁOSZENIOWE:

$\frac{1}{1}$ str. tekstu	zł. — 700.—	Okładka III-cia	$\frac{1}{1}$ str. okł.	zł. — 500.—	Okładka IV-ta
$\frac{1}{2}$ „ „	— 400.—		$\frac{1}{2}$ „ „	— 250.—	
$\frac{1}{4}$ „ „	— 200.—		$\frac{1}{4}$ „ „	— 150.—	
$\frac{1}{8}$ „ „	— 100.—		$\frac{1}{8}$ „ „	— 80.—	
$\frac{1}{16}$ „ „	— 50.—		$\frac{1}{16}$ „ „	— 50.—	
$\frac{1}{32}$ „ „	— 30.—		$\frac{1}{32}$ „ „	— 30.—	
				zł.	
				$\frac{1}{1}$ str. okł.	— 600.—

Przy ogłoszeniach seryjnych prosimy o żądanie ofert.

Ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń w kraju i zagranicą, oraz biuro Tow. Wyd. „Bluszcza” — Warszawa, Solec 87, tel. 2-44-18 i 5-87-05. Cena artykułów reklamowych w tekście wedle specjalnej umowy.

Tygodnik „BLUSZCZ” ze względu na swoje liczne i szerokie sfery czytelniczek, jest doskonałym organem reklamowym dla wielu artykułów z dziedziny zainteresowań kulturalnej kobiety.

Czytelniczki „BLUSZCZU” powinny nabywać tylko te tomary, które zaleca im ich ulubione czasopismo.

BLISTOZ

SPOŁECZNO-LITERACKI
ILUSTROWANY
TYGODNIK KOBIECY

„MÓZG I PŁEĆ” W RADZIE MIEJSKIEJ

Kto dziś nie mówi, gorzej, kto nie pisze o znaczeniu samorządu? Jakby się co najmniej drogę do Indyj odkryło!

Same rewelacje w takich, mniej więcej, lapidarnych skrótach: „zarząd mieniem, zdrowiem, oświatą, kulturą ludności winien spoczywać w fachowych, powołanych rękach”, „nie klucz partyjny, ale istotne dobro obywateli powinno rozstrzygać o przydziale pracy dla radnych za tę pracę odpowiedzialnych”.

„Samorząd daje szerokie pole do popisu, daje możliwość wykazania się działalnością dla dobra obywateli podjętą”. Dosyć. To była dotąd przeważnie „szara” („grau ist jede Theorie”, jak mówi Goethe) teoria, a my coraz mniej mamy zaufania do teorii, do teoretycznych stosunków, zasad, rozważań frazesów, etc.

A przecież te wszystkie, pow. przytoczone orzeczenia na temat roli samorządu, to gołosłowne, nie poparte żadną rzeczywistością frazesy.

Dowodów miałabym na to mnóstwo, ale ograniczę się do skromnych spostrzeżeń, doświadczeń i przeżyć w ramach dnia codziennego, w związku z „pewnikiem”, że ktoś tam czuwa nad moim „mieniem, zdrowiem, oświatą, kulturą” i t. d. Mojem oraz miliona moich współobywateli.

Akurat!

Mieszkam właśnie na peryferjach m. st. Warszawy. Nie w żadnym tam znowu szczerem polu, ale na tak zw. kolonji. W każdym razie na terenie „Wielkiej Warszawy” i do wszystko - obejmującej „opieki” niezaprzeczone posiadam prawo.

Dzisiaj właśnie leje deszcz, zresztą już od kilku dni, a przedtem leżały tu wszędzie, długie tygodnie, zwały śniegu. Ponieważ tu nikt na tej kolonji, na terenie i bardzo blisko Warszawy, nie uprzęta śniegu, to obecnie, w czasie generalnej odwilży, dro-

ga do przystanku tramwajowego (kilometr) jest nie do przebycia.

Jeżeli skromnie nadmienię, że jeszcze nie posiadam auta, to twierdzenie, że tracę dzień w dzień sporo z kapitału zdrowia, mienia, kultury i t. d., będąc zmuszoną dwa razy dziennie dostawać się do tramwaju, nie jest ryzykowne?

Kiedy jest mróz, drzę wówczas o siebie i całą moją rodzinę, gołoledź bywa tu wówczas taka, że trzeba by się chyba jakimiś maczugami, czy ciupagami podpierać, aby przejść, nie połamawszy rąk i nóg.

Ręce i nogi obywatela?

Czy to ma jakąkolwiek wartość? Czy to podlega „opiece”? W Warszawie, w Zakopanem, Kielcach, czy w Radomiu?

Aż się żenuję pisać o tem, o tych „codziennych” sprawach, ale co mnie obchodzą szczytne hasła, mądre teorie, wzniosłe frazesy, a zwłaszcza doktrynalność w ujęciu całokształtu spraw, jeżeli co chwila bywam narażona z powodu nieposypania chodnika piaskiem, na utratę dużej części „mienia” w związku z ewentualną operacją chirurgiczną.

Kiedy wracam do domu, na dużej, niezabudowanej przestrzeni, przeznaczonej w przyszłości na park, widnieją sterty śmieci, odpadków wszelkiego rodzaju. Powietrze jest zatrute tak dokładnie, że ochrona zdrowia, w praktyce tak stosowana, smętnie się przedstawia.

Główna arterja, dalszy ciąg pryncypalnej ulicy Warszawy, oraz wszystkie przylegające ulice, są pozbawione kanalizacji. Po obu stronach zioną straszliwym fetorem otwarte kanały, na brzegach których bawią się w ciepłe dni dziesiątki dzieci.

Bawią się wyławianiem odpadków, blaszanych skorup, przegniłych pudełek od papierosów i t. d. Jest tu wprawdzie opodal „Miejski ośrodek zdrowia”

i wszystkie te dzieci, w razie niechybnego złapania jakiegoś bakcyła w tych chorobotwórczych jamach, mogą liczyć na „opiekę“ nad ich zdrowiem. Ale dopiero po zachorowaniu. Profilaktyka jest w tych warunkach wykluczona.

Dzieci te mieszkają zresztą w suterrenach, barakach, na strychach, w których tak często na jednym łóżku sypia po cztery i więcej osób, a czasem wcale niema łóżek.

Kiedy więc słyszy się, że zbudowano wspaniałą palmiarnię, olbrzymią cegielnię, stojącą notabene bezużytecznie, to mimowoli przychodzi na myśl „teorja“ o kolejności pomieszczenia pewnych pozycyj w budzie miasta, w związku z ich ważnością. W innych miastach Polski buduje się rzeźnie, elektrownie, gmachy, z których budową można było śmiało poczekać, bowiem na pierwszym planie powinny były się znaleźć tanie izby mieszkalne dla wszystkich mieszkańców danego miasta, czy miasteczka.

Coś tu nie „klapuje“ z tą „opieką“, jaką się rzekomo rozpacza nad mieniem, zdrowiem, kulturą, oświatą i t. d.

Nie chcę orzekać zbyt pesymistycznie, ale jeżeli już mowa o kulturze, to kiepsko wyglądamy. Ograniczam się zresztą tylko do kultury zewnętrznej, przejawiającej się w wyglądzie ulicy, domu, zabudowania, wsi, miasteczek, miast i t. d.

Brudno, niechlujnie, czasami przerażająco.

Przecież w samej Warszawie całe dzielnice dosłownie zioną potwornym brudem, straszą domami nigdy nie tynkowanymi, albo takimi, z których

tynek opada, a sterzące cegły wyglądają, jak wrzody na ciele.

Przecież przedmieścia Warszawy, pełne poczeriałych ruder, wałących się oddawna, z dziurawymi dachami i gnojówkami na froncie, to obraz, który możemy dowolnie obserwować z okien pociągu, podjeżdżając od którejkolwiek strony do stolicy, trzydziestomiljonowego państwa.

A cóż tu mówić o jakichś mieścinach, wsiach zapadłych.

Niedawno właśnie tłukłam się trochę po lubej ojczyźnie. Utkwiło mi w pamięci zwłaszcza Zakopane, „zimowa stolica Polski“, „nasze Saint-Moritz“ i t. d. Zakopane, w którym zostawiamy miliony corocznie, a na myśl o niem rumienimy się ze wstydu, myśląc o tej tam... kulturze, choćby najprymitywniej pojętej.

Byłam także letniami czasy w Kazimierzu nad Wisłą, a jechałam tam autobusem. Przesiadał się człowiek kilkakrotnie. Taki Kurów po drodze, czy wsie za Puławami, to już wręcz coś nie do wiary. Zresztą sam precudny Kazimierz. Ten brud jest tutaj aż egzotyczny, nie bardzo malarski, ale ponury i przygnębiający do ostatecznych granic.

A gdyby tak nie zamknięte ramy artykułu, ileżby to się dało wyciągnąć wniosków na temat wpływu tej „kultury“ zewnętrznej na psychikę ludzi, żyjących w takich warunkach, ileż to się dałoby wypowiedzieć „teorj“ o złości, podłości, nikczemności, lęgnącej się, jak struga w wilgoci, w brudzie i niechlujstwie.

Ale to znane rzeczy i dlatego tak bardzo nie docenione i nie „zauważone“, gorzej, tolerowane.



I tak można mieszkać w Warszawie. Sień dobudowana do drzewa, a wanna na podmórzcu.

Zresztą w dziedzinie wszystkiego, co dotyczy formy, a przecież posiadanie formy jest wyrazem kultury, wyglądamy całkiem źle w porównaniu z wieloma narodami. Ciągle jeszcze panuje zasada „od święta”, jeżeli mowa o zwykłej choćby tylko czystości.

Gwałtowne bieleńie, czyszczenie... w razie inspekcji, sakramentalne, „wielkie” porządki raz w rok około Wielkanocy, a na codzień, w iluż domach (tych zamożnych nawet) nieład, przydeptane pantofle, brudny szlafrok, nieuczyszczona głowa. Dla gości — co innego, dla domu — horror.

Niedawno właśnie szukałam mieszkania. Klatki schodowe, podwórza, wnętrza, „buduary”, — wszystko to przejmowało wstrętem i zdumieniem, bo znało się „urocze” właścicielki, panie domu, właśnie od święta.

Kiedy więc teraz mowa o udziale kobiet w radach miejskich, kiedy już wiadomo, że weszło ich w dotychczasowych wyborach do rad jednak 14%, to byłby czas najwyższy pomówić o roli płci, którą reprezentują w uporządkowaniu naszej oplakanej zewnętrżności. Byłby czas zastanowić się nad propagandą walki z naszym typowym oportunizmem.

Mężczyźni podchodzą do każdej sprawy mózgowo, doktrynalnie, teoretycznie. Mężczyźni nie dostrzegają „drobiazgów”, nie dostrzegają szczegółów, ogarniają raczej całość. Kobiety są, jak to się mówi, „drobiazgowy”. Może ta cecha przydałaby się nareszcie? Może zaczęłyby w swej pracy w samorządach zwracać uwagę na te „drobiazgi”, o których powyżej wspomniałam?

Są przecież gospodyniami z powołania i ze zwyczaju, czyż nie włożyłyby do pracy, jako radne, waleńców gospodarskich?

Spotykam się często ze zdaniem, że w czasach ogólnej nędzy i kryzysu trudno mówić o tego rodzaju „reformach”, jak zmiana zewnętrżnego wyglądu naszych wsi i miast. Sądzę, że to nie sprawa kryzysu, ale braku, wpajanych od dzieciństwa, dobrych przy-



60.000
chusteczek
do nosa

dla siebie i dla rodziny pierze gospodyni w ciągu swego życia! Lecz to jeszcze nie wszystko, dochodzi bielizna osobista, pościelowa, kuchenna, dziecinna, sukienki i wiele, wiele innych rzeczy. Czyż prawdziwie postrachem gospodyni? Czyż koniecznie musi ona stać cały dzień pochylona nad balją? Dziś przecież tak łatwo uporać się z praniem — istnieje RADION!

TO TAKIE PROSTE:

- rozpuścić w zimnej wodzie
- gotować przynajmniej 15 minut.
- plókać wpierw w gorącej, potem w zimnej wodzie. Bez tarcia i szcołkowania staje się bielizna w krótkim czasie czysta i śnieżno biała.

NIE MĘCZ SIĘ

węź

RADION

zwyczajem. Nie będę mówił o niezwykłej czystości mieszkań bezrobotnych w Niemczech, o czym specjalnie wspomina Knickerboeker, a co dowodzi, że brud i niechlujstwo wcale nie są niezbędnymi rekwizytami nędzy. Zresztą i w Polsce są biedacy, nieskazitelnie czysti. A zato, ile jest miast, dzielnic, ił obskurnych wsi i miasteczek, w których niedbała gospodarka magistracka, czy gminna nie walczy z nieładem i zamyska oczy na niechlujstwo mieszkańców. W założeniu tego zagadnienia leży właśnie brak dobrych przyzwyczajem, brak dobrych nałogów, które nabywa się od dzieciństwa. Co za olbrzymia rola dla kobiet w samorządach zaszczerpieńie tych nałogów i dorosłemu społeczeństwu.

Co za olbrzymia rola wzięcie na siebie obowiązku likwidacji chaosu w gospodarce dotychczasowej.

Przecież nasza płeć w przeciwieństwie do ich „mózgu” posiada naprawdę wybitną zdolność orjentowania się w sytuacji. Pozatem kobiety są uparte, jak coś przedsięwzją, doprowadzą to do końca.

Jeżeli nie będą miały na jakąś akcję środków, zakaszą rękawy i same cegły nosić będą, jak to się obecnie nieraz dzieje przy budowie przedszkola. Znany jest fakt, że cechą ich mentalności jest właśnie wybitnie życiowe ujmowanie zjawisk, nie doktrynalne, jak u mężczyzn.

Przytem kobiety potrafią realizować wielkie nawet zamierzenia bardzo szczupłymi niekiedy środkami, czasem bez żadnych subsydjów, naprawdę wielkie rzeczy z niczego, przy pomocy dziesięciu palców i entuzjazmu.

Dlatego czynny udział kobiet w samorządach przy jednoczesnym nakreśleniu planowej pracy w dziedzinie uporządkowania dotychczasowego chaosu jest czymś nadwyraz koniecznym. Stajnia Augjasa czeka na herkulesową pracę kobiety.

Janina Strzelecka.

JAK BYC SZCZĘŚLIWYM W MAŁŻEŃSTWIE? ⁶⁾

MAŁŻEŃSKIE KLÓTNIE.

O kłótnie w małżeństwie, jest niesłychanie łatwiej o wiele, niż w innych stosunkach rodzinnych. Rzadko widać, żeby dorosły brat kłócił się z dojrzałą siostrą, ojciec — z córką zaręczoną, lub matka — z dorosłym synem. Przeciwnie, widać nawet między nimi nieraz kurtuazję, uprzejmość, chęć dogodzenia sobie nawzajem. Brat chodzi godzinami ze swoją siostrą na spacer, zamęczając ją inteligentną rozmową, ojciec najlepiej się bawi w towarzystwie swojej córki i t. d... W małżeństwie, po kilkunastu latach, byłoby to samo, gdyby między nimi nie stało groźne, czworonożne stworzenie, pełne dziwnych pretensyj i zachceń — łóżko.

Straszny, przyjęty ogólnie pomysł, żeby ludzie, którzy nie czują do siebie już żadnej elektryczności, którzy, kładąc się spać, rozmawiali ze sobą o naprawieniu szyb, dachu, zapłaceniu telefonu etc... mają się nagle rzucać sobie w ramiona, psuje między tymi ludźmi prawdziwą przyjaźń, wywołuje żale, gorycze, pretensje i tęsknoty „za czymś innym“... Niby napozór rodzina, dzieci wspólne, dom, kłopoty finansowe, a w to wszystko wmieszany jakiś najniższego gatunku erotyzm, jakieś: „dla zdrowia“, „dla świętego spokoju“, „dla obowiązku“.

Łóżkowe pretensje, zawody, zamilczane wstępy, wywołują na drugi dzień kłótnie i swary o byle co. Wystarczy naprzykład, żeby pani domu, wzięła sobie za życiowe zadanie schudnąć tak, żeby jej przyjaciel mógł ją na rękach nosić, żeby atmosfera z powodu redukcyjnego obiadu stała się przy stole nie do zniesienia. Są to prawdziwe „rozkosze stołu“, znane dobrze wszystkim długo zaślubionym.

— Znowu wstanę głodny od stołu — grozi mąż.

— Zato dostaniesz na leguminę kawałek babki — stara się go uspokoić biedna żona.

— Co! — krzyczy już brzydkim głosem małżonek — tę starą babkę, jeszcze ze świąt, ha, trudno, taki już mój los, same stare baby koło mnie.

Tego naturalnie jest już troszkę zawiele, pani wybucha płaczem, pan zaś rzuca serwetę, jak rękawicę przeciwnikowi, i idzie na obiad do restauracji.

Pies przy stole może być też powodem poważ-

niejszej kłótni małżeńskiej. Pan naprzykład lubi żywić psa przy stole, „jak człowiek pracuje ciężko cały dzień, to może mieć przynajmniej tę jedną małą przyjemność“. (Oczywiście, jest to lekka aluzja, że inne przyjemności wspólnego pożycia, wcale się nie liczą).

Pan domu lubił szantażować wszystkich w domu swoją ciężką pracą; pracujące żony odjęły mężczyznom tę broń, którą oni przed żonami tyle lat wymachiwali z powodzeniem. Dzisiejsza kobieta, która wcześniej wstaje i sama zarabia na życie (to zn. na kino, fryzjera i pończochy) butnie spogląda na pracującego męża i mówi:

— Ja też jestem człowiekiem pracującym, potrzebuję przy obiedzie spokoju, i dlatego wymagam, żeby pies natychmiast opuścił ten pokój. — Pies nie wyjdzie — odpowiada na to mąż.

— Pies wyjdzie, a jak nie, to ja wstanę od stołu!

Wstanie od stołu było zdawien dawna specyficzną groźbą pani domu, co, wypowiedziane tonem pełnym powagi i bólu, robiło na współbiedniakach głębokie wrażenie. Dzisiaj groźba ta straciła bardzo na znaczeniu, papa mówi: „a proszę bardzo, będzie nam wszystkim weselej“, a dzieci śmieją się w zupę, ciesząc się, że się zanosi na grubszą awanturę.

Na drugi dzień pies znowu kręci się naokoło stołu, wachlując wszystkich czerwonym, rozradowanym językiem i kładąc z bezczelnością pięknej kobiety zabłocone nogi na krześle. Wówczas żona wynosi się z godnością i talerzem do drugiego pokoju i w ten sposób robi się pierwszy krok do separacji „od stołu“. Ten sam mąż jednak, gdyby to chodziło o jego własną matkę i jej niechęć do psów, w tej chwili, bez gadania, wyprowadziłby zwierzaka do sieni.

Święta Tereska powiedziała bardzo mądrze, że największymi cnotami w życiu jest „cierpliwość i dobry humor“. Jeśli w małżeństwie jedna strona przynajmniej posiada te dwie zalety, wówczas żadna prawdziwa kłótnia nie uda się, a każdy przytyk, lub ostra uwaga mogą być obrócone w dowcip. Żony często posiadają cierpliwość, ale znaleźć u nich zmysł humoru, byłoby rzeczą tak trudną, jak znalezienie w polskim morzu muszli z perłami.

Magdalena Samozwaniec.

Czytelniczki nasze

prosimy, by żądały pism kobiecych we wszystkich kawiarniach, cukierniach, restauracjach, czytelniach i t. d.

ANISKA

Luna lamp zmienia się zielono, perłowo, krwście i w coraz to innym świetle, malowanym pod smutek, pod radość, płomień i ciszę, na czarnem suknie widowni tańczy Aniska. Tańczy sama jedna; dla niej ta czarodziejska sztuka światła. Na czarnem suknie nic, oprócz niej, oczu nie przyciągnie i nie zatrzyma. W głębi wielkiej, ciemnej konchy patrzy, czeka, szeleści tłum; ona musi być dla niego celem, podziwem, rozkoszą i udreka, zabawa i bóstwem. Musi tańczącą, drobną figurką, gestami rąk i nóg zastąpić wszystko, co zostawili za progiem teatru, opowiedzieć bajkę wszystkim razem i każdemu z osobna. Pycha wypełnia serce tancerki, albo raczej coś innego; upojenie własną potęgą. Czuje się mocna i piękna: od nieskalanej linii ud, przypudrowanych na alabaster, od giętkich, jak piosenka, ramion do czubka młodej, zwycięskiej głowy.

Skończone. Klaszcza. Aniska się kłania. W powiewie drżą jeszcze ciemne włosy nad czołem. Śmieje się. Publiczność myśli, że do niej. Chwyta, niby różową piłkę, ten śliczny, swawolny uśmiech dziewczęcy i przerzuca go z dłoni w dłoń.

Lecz Aniska śmieje się z „Nie-go”. Tam, w drugim rzędzie galerji siedzi zabawny, wysmiany aspirant, zakochany bez pamięci skryba z magistratu.

Jak się wychyla! Jak klaszcze! jak zawzięcie woła „bis” gorącym, wzruszonym głosem. Gdyby mógł, szepnąłby wszystkim sąsiadom z galerji, krzyknąłby na całą, zatłoczoną salę: „czy wiecie, że ja ją znam? że ją kocham? że dla mnie zabisuje na pewno?”. Otóż nie. Właśnie żadnych bisów. Na złość. Aniska wybiega za kulisy tak zadowolona, jakgdyby udało się jej spłatać znakomitego figla.

Dyrektor:

— Pani nie słyszy, że wołają? Pani powróci i jeszcze cokolwiek zatańczy.

— Nie, nie wróć.

— Owszem, wróci, bo ja proszę.

Wraca. Trochę nadąsana, a trochę uśmiechnięta, strzela dużymi oczami po krzesłach i po łóżach. Te panie połyskujące, jak złota zastawa, ci panowie, niby czarne świece z białym płomykiem twarzy, wszyscy przyszli dla niej.

Na galerję ani myśli spojrzeć. Idjota. Ona i on? On i ona?! C. za śmieszność.

Ale tam... Czy dobrze wzrok poznaje? Czy pamięć nie myli? W tej najbliższej łoży sam, samiutki...



Obecnie jest również

Puder „Lady”
parfumée au Chat Noir

o czarującym wprost zapachu. Ucieszy to niewątpliwie wszystkie panie, dla których ulubioną perfumą jest woda kolońska „LADY”.

Do nabycia we wszelkich modnych odcieniach.

Oryginalne pudełko zł. 1.40



Zwolna, uroczyście Aniska wycofuje się za scenę.

— Nie bisuję? Ściągnę nadwerżyłam, nie mogłabym w następnym numerze.

— Aa, chyba, że w następnym numerze. Tak, przedewszystkiem w następnym numerze!

Lampy ucichły. Czarny postaw ściągnięto. Na estradzie piosenki wesołej koleżanki Marlity.

W maleńkiej ubieralni, nawpół naga, w króciuteńkich motylkach tancerki i napiersnikach z jedwabnej siatki, leży Aniska. Wypoczywa. Szafirowy strzęp jej zrzuconej tuniki zwisa, jak zmięte skrzydło.

Książę. Śliczny, daleki. Śliczny, daleki, kiedy na białym, płomiennym arabie wraca czarną aleją i niknie w bramie ostrokończastej. Albo kiedy poza prętami parkanu chodzi, błądzi w zazdrośnym cieniu, to w szczodrem słońcu, które go całego wydaje nienasyconym oczom. Pośród tarasów kwiatowych, gdzie kwitną róże, te najpiękniejsze, żółte goździki, ogniste werbeny — zrywają kwiaty.

— Hej, mała, jak ci tam! zanieś kwiaty pani. W lewym pawilonie, rozumiesz? Podaj przez okno.

Pani różowa i jedwabna bierze dar. Patrzy w zamyśleniu.

— Czy aby masz czyste ręce? — pyta. Ostrożnie kładzie kwiaty na framudze, przebiera, wacha, rozsypuje, nie dbając. Tyle kwiatów na klombach, niema czego żalować.

Patrzy w obłoki, opite światłem: złoty pożar słońca stoi ponad kremowymi ścianami, nad czerwoną łuską dachu. Gołębie wołają słodko, aż mdli.

Aniska cicho stąpa bosymi nogami po żwirze. Tę małą, wiśniową różę, co upadła, niesie w rogu przybrudzonego fartuszka. W szklance

pod obrazkiem ta róża stała tak długo, aż się rozsypała na proch.

A teraz w lekkich, zaczarowanych pantofelkach tańczy córka ogrodnika i tysiąc oczu patrzy na nią, i jego także: i śliczny, bliźniutki książę! Z przeszłości niewiele zostało: zabawne imię i cóż jeszcze? co ponadto?

Nowy numer programu. Jak mistrz, który ma olśnić trudną grą, wchodzi w blask lamp Aniska chłodna i opanowana.

Deski zaściela zielona, puszysta trawa dywanu, od stropu zwisają sznury, połączone wysoko liną. Ta trawa, to ciepła rozgorzałość światła, te złociste, lekko kołyszące się liany przypominają lato.

Pośrodku niczem czerwony mak, stoi mała tancerka, przytulona do sznura i patrzy smutnymi oczami w tłum, który ma zabawić, igrając pomiędzy życiem, a śmiercią.

Więc lekki odskok w górę i oto długa, wysmukła, opleciona dokoła pnącza, pełźnie i owija się coraz wyżej, chwije się, kołysze na tej lianie lśniącej. Wyżej i wyżej. Już jest gdzieś pod pułapem, wysoko, lampy siekają ostrym blaskiem, tam przerzuca się ku linie poprzecznej i sunie na samych rękach, nogi, stulone w czarną plecę, prują falę światła i ciszy.

Oto drugi sznur. Ciało przebiega wstrząs. Coś mignęło w powietrzu, coś się przekręciło. Spada powoli wzdłuż rozchwianego sznura mała jaszczurka, odwrócony kwiat maku: łodyga nóg u góry, kielich ponsowej spódniczki i ciemna głowina na dole.

Gdy naraz zakrzępla w tej pozycji, tak daleko od ziemi, sypnęły się brawa.

Teatr porwał się z miejsc, klaszczą i krzyczą. Rozkoszne to bo-

wiem widowisko oglądać stworzenie młode i piękne nad samą krawędzią śmierci i pragnąć, żeby to się nie stało i wiedzieć, że to się stać może.

Aniska słyszy głuchy szum oklasków. I słyszy też z drugiego rzędu galerji jęk i ręk łamanie. Biedny skryba z magistratu! Biedny amant, który chce tak uczciwie linoskoczkę szaloną pojąć za żonę i osadzić w gniazdku — jeden pokoiik z kuchnią — i co rok skromnem, rodzinnem świętem obchodzić szczęśliwe powicie. Biedny: jego szczęście wisi głową w dół, jego chluba i przyszłość oplata smutnemi nogami sznur, trzyma się nad przepaścią wysiłkiem dziewczęcych

ramion, ku uciezce ludziom, którzy zapłacili.

Aniska łowi cichy, bliski szept ze wspaniałej łoży. Szept lęku. O tamtego nie dba. Ale ten... Słysząc, jak nóż trwogi wchodzi pomału w jego dalekie, obojętne serce.

Boi się o nią, że nie wytrzyma, że spadnie, rozbije się tuż, jak bezcenny dzbanek. A ten powiew cudzej męki czuć na twarzy — to jest upojenie. Zapłata...

— Poznajesz mnie, śliczny, bliźniutki księżę? Nie mam brudnego fartuszka, ale trochę długu, który trzeba oddać. Śmierć, czy życie? Może jedno wybiorę, może drugie.

podrażnię się z tobą trochę. Baw się, przerażaj, nie spuszczaaj oczu...

Minuta pęcznieje i rozrasta się. Nieznośne uczucie ogarnia ludzi. Dziwią się i gniewają.

— Jeszcze, jeszcze! powiada Aniska. Pije lęk tłumy, śmiech w niej wzbiera i drwina. Ktoś ostro, histerycznie zapłakał na galerji. Pan z łoży wstaje blady, drżący, wyciąga rękę rozkazującym gestem.

— Dosyć — woła tak głośno, że wystraszony dyrektor wypada drobnym kroczeniem z za kulis, a za nim służba z sikawką i drabinkami, jakgdyby wszechzał się nieoczekiwany ogień.

Zofja Kunicka.

ŚWIĄTKI I OBCHODY LITEWSKIE

2)

W sąsiednich zato borach, tych od Koszedar, czy Mejszagoły, kryje się po dziś dzień wstydliwie życie dawnej, pogańskiej jeszcze Litwy. I nietylko ruiny zamków gedyminowych w Birżach, czy Kownie, ale tamte prostsze i tem bardziej wymowne pamiątki. W pośród resztek pracmentarzy kryją się wizerunki skarabeuszów, czy też wręcz fantastyczne nagrobki, jeszcze nie znaczone krzyżem. Pokazują mi jeden z nich, jako mityczny grób księżniczki Biruty, kochanki Kiejstuta...

Te w głębi puszczy pozostałe pamiątki mają swoją legendę, której nie chciałbym tu rozwiewać. Niech „mędrca szkiełko“ pozostanie na skraju tych borów, jak drewniany drogowy znak chrześcijański, legendy o świątkach litewskich nie trzeba okiem krytycznym dotykać. Gdyby nie szczupłe ramy artykułu, można by tu długo jeszcze o osobliwościach litewskich pogawrzyć. Odwiedzić wieś litewską w czasie uroczystości weselnych, mających tu swoją prastarą, pełną pogańskich jeszcze obrzędów, tradycję. Od zaręczyn do oczepin snuje się na tle przepisanych zwyczajem pieśni ludowy melodramat po dzień dzisiejszy, zwłaszcza w głębi kraju, w Poniwieskiem, zachowywany.

Czy znowu spojrzeć na cmentarz litewski w dniu listopadowych Zaduszek...

Modlitwa chrześcijańska i ofiary z „jadła i napoju“ waleczą w tym dniu żaloby o pierwszeństwo. I nie pomogą tu zakazy kościelne: „dziady“ litewskie długo jeszcze żyć będą poezją swojej tradycji.

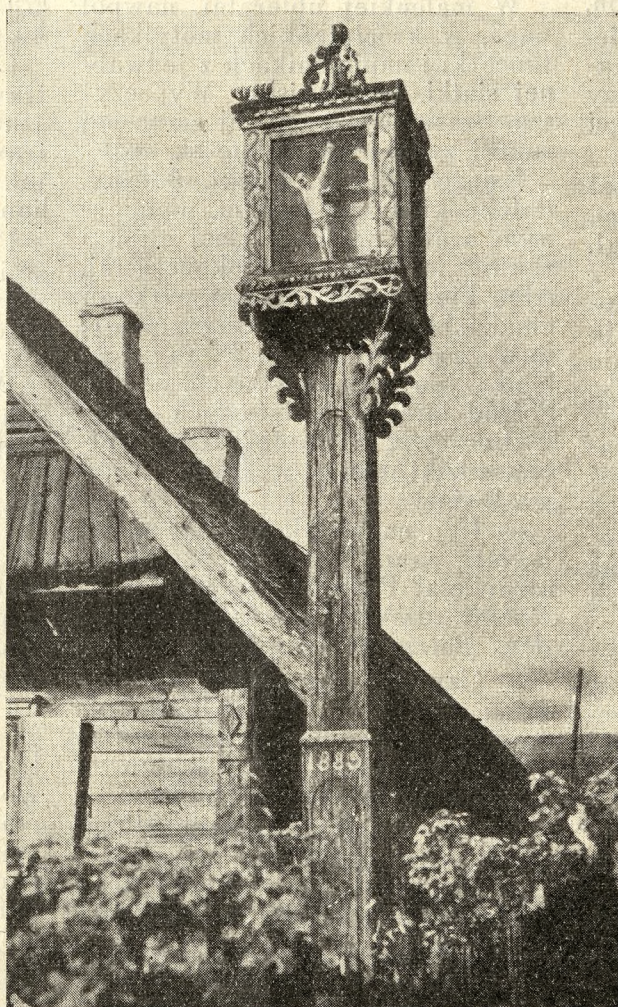
Doprawdy, dziwna jest dusza ludu litewskiego, pełna przeciwieństw. Psychika ta tłumaczy nam niejedno ze zjawisk z nietykanego dziś rozmyślnie życia politycznego. Z jednej strony mistycyzm katolicki

i silne napięcie „młodej“ wiary, z drugiej — długi szereg tradycji pogańskich i co ważniejsze, pogański upór w swoich dążeniach.

Miękkość języka i dużo prostoty w obyczajach pokrywają się z dużą nieugiętością charakteru i nieufnością do obcego przybysza. Osobno niejako stoi pracowitość litewska, zwłaszcza w zakresie pracy kobiecej.

Pisano o Litwie niejednokrotnie: Baudouin de Courtenay i ks. Juszkiewicz zbierali zwyczaje ludowe i pieśni, mamy pracę o snycerstwie litewskim, o muzyce. Brak natomiast dotkliwe studjum o *Współczesnej psychice litewskiej*, zwłaszcza o dualizmie, jako jednej z cech dla tej współczesności najbardziej typowych.

Świątki i obchody litewskie, jako takie są arcyciekawą, na dzień jednak, zdaniem mojem, kryje się daleko głębszy temat do badań.

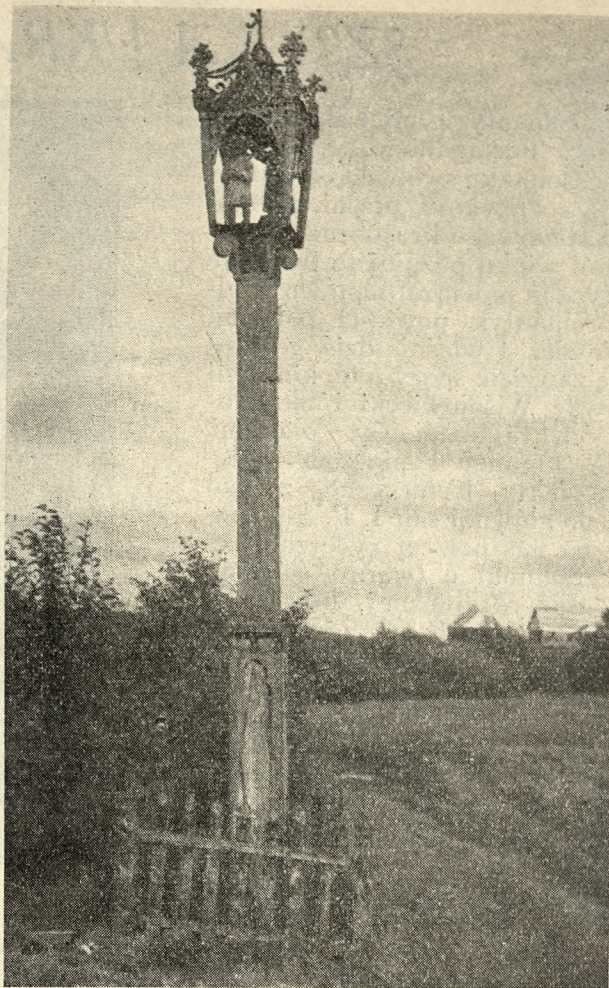


Krzyż „latarniowy“ na Żmudzi.

Wszelkie obchody na Litwie ściśle związane są ze śpiewem. Trzeba zauważyć, że Litwa jest jednym z najmuzykalniejszych, w sensie pieśni ludowej, krajów. Poczucie „wielogłosowości” wrodzone jest tam ludowi, stanowi ono ozdobę nabożeństwa i uroczystości miejskich. Pieśni te stosownie do swego charakteru dzielą się na „dajny” (weselne) i — „randy” (żałobne). Wspomnijmy mimochodem o obu rodzajach pieśni.

Według wierzeń litewskich, po śmierci i spaleniu ciała uchodzi w zaświaty „wel” (duch), udając się w odwiedzinę do proroków swoich. Nazwę tę następnie zastosowano do duchów złych, potępionych („velnis”). Obchody ku czci duchów to *randy*, czyli płacze, wspominki. Czytane, lub śpiewane *prozą*, są randy wyrazem żalu po zmarłych, słowami wyrzutu, że świat ten i dom swój opuścili. Randowanie, pospolite przy praktykach pogrzebowych pogańskich, z chwilą wprowadzenia chrześcijaństwa spotkało się, jako zwyczaj zabobny, z represją duchowieństwa.

Uroczystości weselne, o których już wspomniałem, dają obfite pole dla rozwoju „dajny”, czyli pieśni swawolnych. Dajny więc, w których niejednokrotnie stwierdziłem wpływy polskie, stanowią treść muzyczną tych obchodów. Śpiewane *ex promptu*, na 3 lub 4 głosy (!), posiadają one dużo uroku, oczywiście, jeśli się je słyszy w związku z weselem. Oder-



Krzyż „z figurą” z okolic Kowna.



Krzyż-płaskorzeźba ze Żmudzi.

wane od życia, podane w programie koncertu chóralnego, tracą dajny litewskie swoją odrębność i styl.

Warto jest wiedzieć, że jest ich około 2000, pieczołowicie zebranych przez naszego wybitnego kompozytora, Zygmunta Noskowskiego. Pisano o tych sprawach niewiele.

Zapewne niepodległa Litwa zajmie się bliżej sprawą swoich osobliwości folklorystycznych.

Jeżeli idzie o typy ludowe, to bezsprzecznie jednym z najbardziej lokalnych na Litwie jest t. zw. „kościelnik”, będący w minjaturze tem, czem u nas obecnie... konserwator pamiątek. Rzecz naprawdę osobliwa, że wybrańcy ludu wiejskiego dbają *sami* o zachowanie swoich „świętków” i innych drewnianych ozdób kościelnych.

Wiejski ten konserwator („kościelnik” poświęca się z wyboru gminy pracom specjalnie kultu religijnego dotyczącym: jest to w jednej osobie artysta, stolarz i antykwariusz wiejski. Latem obchodzi on okoliczne drogi, reparując krzyże i figury przydrożne, w razie potrzeby postawi (choć niechętnie) i zwykły krzyż grobowy; zimą natomiast ślęczy on w chacie nad nowymi pomysłami świętków, przy tokarni i laubzedze. Ten osobliwy stolarz — konserwator, jest zjawiskiem niemiłej dla mnie oryginalnym, jak tysiące krzyżów przydrożnych na Litwie, osobliwością w żadnym kraju europejskim nie spotykaną. Wogóle dziwna i pełna kontrastów jest dusza ludu litewskiego.

W. B.

SZTUKA UKRAIŃSKA W I. P. S-ie

Nasz romantyzm miał słabość do Ukrainy. Pociągała go rycerskość, dzikość, smutek i swoboda duszy kozackiej, rozlewność pieśni, melancholija stepowego krajobrazu.

W pół wieku później te tradycje artystyczne nawiązał nanowo wielki neoromantyk powieści polskiej, Sienkiewicz. I właśnie dziś, gdy toczą się zawzięte spory o to, kim byli naprawdę Wiśniowiecki i Skrzetuski, — Ukraińcami czy Polakami, i o ile „Ogniem i mieczem” przeinacza fakty historyczne, z nad drzwiami do głównej sali I. P. S-u spogląda na nas portret rycerza (rzekomo Bohuna) o twarzy ściągłej, zuchwałej, drapieżnej, lecz szlachetnej, o rękach tak pięknych i rasowych, jak ręce księżątka.

Te wizerunki hetmanów i watażków ukraińskich, tak bardzo podobnych do naszych portretów rodzinnych, drzemających w mroku obszernych jadalni, mówią nam więcej o pokrewieństwach psychicznych tych dwu krzyżujących się ze sobą narodów, niż wszelkie polemiki. Natomiast o odrębnościach kultu i sztuki religijnej świadczą przepyszne ikony i hafty cerkiewne, wypożyczone ze zbiorów Ukraińskiego Muzeum Narodowego we Lwowie i z wielkim pietyzmem i poczuciem dekoracyjności rozmieszczone w salach I. P. S-u.

Ukraińska sztuka religijna pozostawała przez cały ciąg swego istnienia pod wszechwładnym wpływem bizantyzmu. Wpływ ten



Św. Michał — 1565 r.

jednak nie był wyłączny. Bezimienny najczęściej artysta, mnich, ulegając zasadniczym nakazom schematyzowania postaci i hierarchiczności ruchów, przyjętym w sztuce bizantyńskiej, traktuje je jednak zazwyczaj indywidualnie. Tak np. św. Jerzy na koniu, obraz pochodzący z XIV wieku, odskakuje od typu bizantyńskiego przez

wprowadzenie momentu ruchu i realistyczne potraktowanie całości. Prześliczna Madonna z Dzieciątkiem ma znacznie więcej ekspresji, słodyczy i miękkości, niż jej prawnicy bizantyńskie.

Pozatem artysta ukraiński chętnie wylamuje się z pod kanonów bizantyńskich w dziedzinie kolorytu, posługując się kontrastami barw zielonej i czerwonej, co świadczy o wybitnej samodzielności i odrębności instynktu artystycznego. W ikonach, pochodzących z XVII wieku, znać wyraźnie wpływy włoskiego renesansu i baroku, potraktowane jednak w ten sposób, że nie uchylają swoistej powadze i hieratyczności bizantyńskiej.

Na początku XVIII wieku religijna szkoła ukraińska wygasa. W w. XIX malują wprawdzie wybitni artyści świeccy, pochodzący z Ukrainy, jak Lysenko, Szewczenko, Rjepin i inni, ale sztuka ich tonie w morzu rosyjskiem.

To, co nam pokazano ze współczesnego malarstwa ukraińskiego w mniejszej sali I. P. S-u, świadczy niewątpliwie o kulturze zachodniej twórców (Akademia Krakowska i Paryż), ale nie ujawnia żadnych cech specyficznie regionalnych. Wielka sztuka religijna dawnej Ukrainy należy całkowicie do przeszłości.

Pięknym uzupełnieniem i tłem obrazów i ikonoskazów są wspaniałe hafty cerkiewne i kilimy. Te ostatnie pochodzą głównie z



Matka Boska, ikona z XV w.



Pod Krzyżem — pocz. XVI w.

XVIII wieku, dworskie, kozackie i ludowe, zbliżone do współczesnej sztuki tkackiej polskiej, są pełne świeżości, wdzięku i bogactwa kolorystycznego. S. P. O.



Z wdychaniem powietrzem

dostają się do jamy usnej i gardzielowej zarazki chorobotwórcze. Panflavin w pastylkach powstrzymuje rozwój bakteryj i chroni tem samem przed gripą i zapaleniem gardła.

Panflavin
w PASTYLKACH

SUROWY TRYBUNAŁ LITOŚCI

(reportaż własny „Bluszczu”).

Duża, jasna sala na Stacji Rozdzielczej dla dorosłych przy ul. Przebieg Nr. 5. Liczne rzędy ław, na których siedzą oskarżeni, aresztowani podczas uprawiania żebrani na ulicy. Ciepła woda, mydło i porządne ubranie starło z nich brud i niechlujstwo, które czasami budzi litość przechodniów, czasami wstręt. Ale na twarzach nieszczęśliwych nędza wyrzyła stygmat, który najtwardsza szczotka nie jest w stanie zmyć.

Młoda dziewczyna w niebieskim szlafrocuku i białej chusteczce na głowie (obowiązujący strój aresztowanych kobiet), z pod której wyciekają się pasma jasnych włosów, kręci się niespokojnie na ławie i machinalnie uspakaja małe dziecko, które śmieje się głośnym, niefrasobliwym śmiechem.

— Niechaj zaprowadzą do kryminału, niechaj zakatrupią, ale nie mogę już tutaj dłużej czekać! — zwierza się sąsiadce.

Żegnaj się, gdy sędzia wywołuje jej nazwisko:

— Magdalena S...

Przyznaje się natychmiast do żebrani.

— A niby co miałam robić, jakiem straciła posadę? — pyta.

— Ile oskarżona ma lat? — przerywa sędzia.

— 19...

Ale wygląda na znacznie więcej. Szturchańcem uspakaja dziecko, które wyciąga ręce do Najwyższego Sądu i śmieje się niefrasobliwym, głośnym śmiechem.

— Zameżna? — pada pytanie.

— Nie...

Chichoty, które rozlegają się na ławach oskarżonych, uspakaja woźny surowym napomnieniem. I Najwyższy Sąd słucha dziejów, w jakie obfituje każde wielkie miasto. Magdalena S. przyjechała ze wsi, długo szukała służby, wreszcie wziął ją jakiś pan. A potem znalazła się z dzieckiem na ulicy. Nie mogła znaleźć zajęcia, nie chciała się zaciągnąć w szeregi prostytutek. Na dnie duszy prostej, wiejskiej dziewczyny drzemała widocznie uczciwość, wyssana z piersi matki. Więc stanęła pod murem i wyciągnęła rękę. Jej wynędzniały wygląd i małe dziecko wzbudzały litość. Płynęły datki, które nie wystarczały na życie, a jednak uniemożliwiały śmierć.

— Nie wolno żebrać — upomina sędzia.

Dziewczyna kiwa twierdząco głową. Preraża ją przymusowy dom pracy, kara za uprawianie żebrani. Niedawno jeszcze było jej wszystko jedno, czy pójdzie do „kryminału”, ale gdy zamajaczyło przed nią widmo niewoli, przeleżała się.

— Oskarżona posiada siostrę, która gotowa się nią zaopiekować — mówi obrońca.

Dziewczyna czerwieni się. Nie miała odwagi przyznać się do dziecka, które wyciąga różowe piastki do surowego pana prokuratora. Ale gdy padł wybór między przymusowym domem pracy i wymówkami siostry, przestała się wahać. Karę jej zawieszają na dwa lata. O ile zacznie znowu uprawiać żebranię, nie uniknie przymusowego domu pracy.

— Żebym tak trupem padła, jak nigdy więcej nie wyciągnę ręki — lka w ostatnim słowie oskarżona.

Ale jej oczy mówią co innego...

Sura J. jest kaleką. Wzrost jej nie przekracza 80 cm. Preraźliwie długie ręce i odrażająca twarz czynią z niej potwora. Na krótkich nogach kołysze się nadmiernie tęgi i długi korpus. Ma lat 38, ale wygląda na staruszkę. Pomimo swojego kalectwa, jest podobno zręczną szwaczką. Ale straciła zajęcie, rodzina nie chciała jej karmić, więc stanęła na ulicy i wyciągnęła rękę.

— Nie wiedziałam, że nie wolno żebrać!

Gestykuje ze wschodnią żywością. Mówi głośno, krzykliwie i co chwila poprawia białą chusteczkę na głowie. Najadła się do syta dopiero na Stacji Rozdzielczej. Można się domyśleć, że również tutaj poznała rozkosz ciepłej kąpieli i czystej bielizny. Ale broni się, jak może, przed domem pracy przymusowej. Obiecuje poprawę. Nie będzie już żebrała! Z pomocą rodziny napewno znajdzie zajęcie. Gdy wreszcie zapada wyrok, zawieszający karę na rok, otwiera usta, pokazując w uśmiechu zepsute, spróchniałe zęby.

— Dziękuję panu sędziemu! — woła skrzeczącym głosem.

Stanisława M. ma lat 36. Na łagodnej, smutnej twarzy maluje się przerażenie. Pierwszy raz w życiu stoi przed Sądem. Chce opowiedzieć wszystko o mężu, który już dawno umarł na gruźlicę, o córce, którą z trudem wychowała...

— Dlaczego córka nie utrzymuje oskarżonej? — przerywa sędzia.

Cienki sznureczek lez płynie z oczów, które niedowidzą. Córka jest służącą do wszystkiego. Ale opłaca kącik, który matka wynajmuje u pewnej kobiety na Woli. Odejmuje sobie od ust i daje jeść staruszce, ale matka nie mogła dłużej patrzeć na poświęcenie ukochanej Zosi. Więc stanęła koło kościoła i wyciągnęła rękę.

— Ulżyłam jej trochę — mówi nieśmiało.

Dziwi się, że taki szlachetny odruch jest niedozwolony. Nie zgadza się, aby korzystać z łaski córki. Zbyt ją kocha. Zresztą Zosia ma narzeczonego, który nie chce utrzymywać matki staruszki...

— O co prosi oskarżona? — pyta sędzia.

Łkanie podnosi zapadniętą pierś. Prosi o umieszczenie jej w przytułku.

— Przynajmniej Zosi będzie lepiej.

Józefa M. nie pierwszy raz staje przed sądem. Była już oskarżona o włóczęgostwo i drobne kradzieże. Niechętnie opowiada o swojej przeszłości, czasami pada z jej ust francuskie słowo, wskazujące, że nie zawsze była nędzarką. W jej oczach błyszczy nienawiść. Nienawiść do sędziów, którzy chcą ją pozbawić swobody głodowania i spania pod gołym niebem; nienawiść do towarzyszek, które z tępa obojętnością oczekują spełnienia swojego losu; nawet nienawiść do obrońcy, który usiłuje uzyskać zawieszenie kary, polegającej na zamknięciu w domu pracy przymusowej.

— Żebrałam, bo tak mi się podobalo — rzuca hardo.

Może w młodości spotkało ją rozczarowanie? Może nie umiała sprostać ciężkim zadaniom, jakimi obarczyło ją życie? Pewnie borykała się i walczyła, zanim wreszcie znalazła się na ulicy z wyciągniętą ręką.

I nie cieszy się, gdy sędzia, zdjęty smutkiem, oznajmia zawieszenie kary na trzy miesiące. Nie tylko ona, ale i zespół sędziowski, jej towarzysze i towarzyszki, wszyscy wiedzą, że niebawem znajdzie się znowu na Stacji Rozdzielczej, aby powędrować tym razem naprawdę do domu pracy przymusowej, a stamtąd może do więzienia.

St. Osińska.

A MOŻE MAHARANI?

Udając się na półwysep Hindostański, wiedziałam, rzecz prosta, że będzie mię interesowało wszystko — przyroda i ludzie. Obyczaje i... nieobyczaje. Pogody i niepogody. Przedewszystkiem zaś — *Ona*. Kobieta hinduska. Jaka jest zbliżona, widziana na codzien od rana do wieczora, oglądana nietylko w okolicznościach przypadku lub na obrazkach. Czy taka, jak o niej piszą z drugiej lub trzeciej ręki? O niej i jej przysłowiowej niedoli?

Obiecowałam sobie niejedno świeże, pierwsze wrażenie przy bliższym zetknięciu się z Hinduską podczas podróży. Na okręcie. W takim płynącym hotelu, w przeciągu blisko trzech tygodni, deptając sobie po piętach, zawrzeć nawet można przyjaźń dożgonną!

Tu właśnie spotkał mię pierwszy zawód. Absolutna niemożność zbliżenia się do pasażerki kolorowej w milieu par excellence anglo-saskiem! Nonsens!! Przesada?! — Bynajmniej.

Zakorzenione głęboko, odwieczne uprzedzenie. Coś w rodzaju kompleksu psychicznego, (bo jakże to nazwać?) któremu podlega każdy prawie szanujący się Anglik, gdy nastaje chwila, że ma się zetknąć z człowiekiem ciemnoskórym, choć przecież równie aryjskiego pochodzenia!

Kwestja ustosunkowania się do kolorowych, nieistniejąca dotychczas w mem życiu, stała się oto nagle aktualna i jakże sporna!!

Bo Polska, nieposiadająca kolonij na Wschodzie, nie zrozumie nigdy racji podobnej rezerwy i zachowania niezbędnego dystansu.

Zresztą, „poco nam te przyjaźni w życiu prywatnem?“ — oto codzienna, lakoniczna odpowiedź na wszystkie moje skrupuły w tej drażliwej kwestji.

W każdym bądź razie na szczerą chęć zawarcia znajomości, bodaj powierzchownej, z pasażerką hinduską nie zbywało mi. I na szukaniu ku temu okazji. Lecz właśnie ona nie kwapiła się ze zbliżeniem do Europejki.

Wracało ich zaledwie kilkanaście do ojczyzny tym szlakiem morskim Londyn via Marsylja — Portsaid — Bombaj. Jechały wyłącznie w klasie drugiej w towarzystwie swego męża, ojca, czy brata. Starsze czy młódki. Jadały osobno. Nie zjawiały się bowiem w oznaczonych godzinach przy table d'hôte w połącznej sali, gdzie zasiadało dzień w dzień przeszło 300 pasażerów.

Były ciche, skromne, uchodzące z drogi. I nosiły z wdziękiem swe



Kobieta hinduska z kasty braminów.

fantastyczne kolorowe suknie, sari. Myślę, że na codzien przy każdej robocie musi być w nich niewygodnie. Zresztą, niezwykle efektowne, gdy się jeszcze doda pozłacane sandaalki, bransolety i zausznice odpowiednie.

Czemu Hinduska, najbardziej nawet ucywilizowana i postępową, rzadko dotychczas nosi suknie europejskie? Oczywiście w swoim kraju. W Europie, na studjach, im młodsza, tem chętniej przedziera się w Europejkę. W późniejszych latach niezmiennie wróci do swego sari i sandaalków. Dlaczego?

Przez dumę narodową. A oprócz tego, bo tylko w stroju narodowym jest jej do twarzy, z twarzą mocno smagłą i ciemną, hebanowemi włosami, oczami, jak węgiel. W tej wschodniej sukni, w którą owija się od stóp do włosów lśniących i przyczesanych gładko, której koniec zahaftowany szlakiem złocistym narzuca na małą, zgrabną głowę, jest stylowa. Jest sobą... Dotychczas odgradzała się w niej od ludzi obcych, a może nawet reszty świata.

Na pierwszy rzut oka jest nieprzenikniona. Bodaj powierzchownie. Nie wie się wszak nic o jej ciele. Jakie ma nogi i ramiona? Stan i piersi? Czy jest szczupła, bardzo młoda, czy już w latach? Ruchem atawistycznej płochliwości zasłania sobie często pół twarzy. Nawet wówczas, gdy już nie nosi autentycznej zasłony, purdah.

Fałdzista suknia przykrywa szczerline jej postać. Milczenie, skąpa mowa, dyskrecja zachowania się i spojrzenie obcego, osnuwa mrokiem tajemnicy jej jaźń.

Czy odczuwa boleśnie swe osławione męczeństwo kobiety Wschodu? Pozbawionej... duszy i wszel-

kich przywilejów człowieka XX stulecia? Czy raczej zadowolona jest ze swej pasywnej, biernie wygodnej roli przy boku mężczyzny, ojca jej dzieci, żywiciela i przewodnika?

Widząc ją po raz pierwszy żywą i realną na pokładzie „Strathaird“ zdążającego w upalne lipcowe dni na półwysep Hindostański, pragnęłam zdać sobie sprawę przynajmniej z wrażliwości pracy jej ducha i jego refleksów na twarzy szczupłej, ciemnej.

Nic nie wykombinowałam.

To pewne — nie była ciekawa nas, ani naszych obyczajów. Stroniła od nas. Ja zaś musiałam zadowolnić się narazie podziwianiem jej powłoki zewnętrznej, różnorodności i mnogości jej szat. Na tym okręcie nie było przecież magnatek, ani maharani, najwyżej sfery średnio zamożne: żony profesorów, doktorów, adwokatów, nie zauważyłam jednak, aby włożyły dwa razy jedno — to samo sari!!

Przytem na rano płótna, muśliny, markizety; na godziny poobiednie jedwabie, żorżety, crêpe de chine'y. — Co za rozrzutność — myślałam nie bez racji.

Bardzo prędko przekonałam się jednak, jak mało kosztowna jest suknia hinduska! Jak mało wymaga zabiegów i starania ze strony kobiety.

Siedem — dziewięć jardów materjału, (jedwabiu czy muślinu) zakończzonego pomyslowym haftem, kolorowym szlakiem (maszynowym), czy złotą taśmą, oto wszystko! Suknia gotowa. Spięta na lewym ramieniu agrafą, okręcona dokoła kibici i bioder, puszczone wolno na nogi, jak spódnica. Na zimę, o ile nie mieszka na północy, grubsza surówka, przerabiana bawełną. Na plecach wieśniaczki noszą narzucone chusty albo raczej koce, czasem poprostu kołdry. Zawsze są bose. Pończoch używają tylko... arystokratki.

Nie, krawiecczyną w naszym pojęciu, galanterja kobieca; przemysł kapelusznicy czy fryzjerski nie mają najmniejszych widoków rozwoju na półwyspie Hindostańskim!

Przeciętne sari z jedwabiu miejscowego ze szlakiem złotym lub kolorowym nabyć można na pierwszym lepszym bazarze za cztery — pięć rupees, niecałe dziesięć złotych. Z płócien samodzielnymi i muślinów o połowę taniej! Oczywiście na myśli mam najbardziej rozpowszechnione sari wśród mieszkanki wsi i miasteczek.

W miarę zamożności wzrasta koszt sukni niewieściej. Droższy

materiał, prawdziwy, ciężki jedwab, brokat, bogaty haft, złożony szlak.

Nikt mi jednak nie zdołał wytłumaczyć, czemu kolor sukni hinduskiej tak bardzo jest uzależniony od dzielnic i kastowości. Że mieszkanki południowego cyplu półwyspu, szczególnie wschodnich dzielnic, mają predylekcję do koloru białego, do muślinów i płócien ze szlakami o pastelowych barwach (niebieski, cytrynowy, różowy), to chyba naturalne, wobec stałej podzwrotnikowej spiekoty.

Kobiety plemienia Telegu ubierają się tylko biało; ale sąsiadki ich przez miedzę, (coprawda ta miedza to dystans dość pokaźny), bardziej na zachód-południe kochają się w kolorach jaskrawych.

Niewiasty, władające narzeczem Tamil, noszą sari pomarańczowe, ponsowe, szafirowe. Czemu mocne i wyraźne barwy umiłowaiły sobie Musulmanki, szczególnie kolor czerwony i fioletowy do czarnych i szafirowych obcisłych szarawarów?

Obywatelki północnych dzielnic, gdzie panuje narzecz Hindi i Urdu, ubierają się przeważnie w suknie rdzawego, brązowego koloru, aczkolwiek i tu w okresie lata nierazdo można spotkać białe szaty.

Materiały kwieciste, kropkowane, prążkowane, to monopol... chrześcijanek, których najwięcej jest w okolicy Madrasu, jako że Madras był pierwszą dzielnicą Indyj, dokąd przeniknęło chrześcijaństwo. Wzorzyste i pasiaste jedwabie chętnie noszone są również w okolicach Kaszmiru, na północy.

Trudno zaiste ustalić wyraźne granice gustów i upodobań Hindusek, jak również trudno mówić o jednym, wyraźnym stylu tej sukni narodowej. Sposobów noszenia i upiększenia szaty jest tyle zapewne, ile dzielnic, ile kast, ile wyznań religijnych.

Żywe kwiaty, wpinane do włosów nad uchem, to znowu przywilej (bardzo ładny) kobiet z południa; zato w górach Himalajskich, w północnych dzielnicach wszystkie bez wyjątku kobiety, a nawet małe dziewczynki, noszą olbrzymie koła i mają przeklute nosy, a nie uszy, to okropne!

Dotychczas, nawet najbardziej ucywilizowane i oglądzone na zachodzie Hinduski, nawet wszystkie aktorki filmowe noszą dyskretny złoty kol-

czyk, coś w rodzaju ziarenka grochu u nasady nosa. I nikt im nie wytłumaczył, jak bardzo z tą złotą kulką jest szpetnie. I dziko.

Oslawiona „bizuterja“ wschodnia? Nie mam na myśli, rzecz prosta, kosztowności magnatek, żon udzielnych książąt i królików, lecz myślę o tych wszystkich świecidełkach i kamykach, noszonych przez ogół i nietylko przez kobiety!

Najcudniejszych fasonów (każdy może być inny) koleżki, pierścienie, bransolety ze srebra i miedzi; naszyjniki z odłamków najrozmaitszych metali i półszlachetnych, górskich kamieni. Turkusy przeważają. Wszystko to topornej roboty, nigdy nie czyszczone, nie zdejmowane przez lat kilkanaście we dnie i w... nocy.

Nie przypominają zaiste bizuterji, są raczej wkładem (płynnego) uciulanego żmudnie grosza, w wartości stałe, są rezerwą na czarną godzinę, no, i widomą oznaką majątności.

Cały ten sklep błyszczącej tan-



PRZECIWO

*wągorom i połyskowi tłustej cery
posługiwać się
dra Lustra
proszkiem marmurowym*

dety dźwiga na sobie Hinduska, przekazując go drogą spadku córkom. Dla nich przezorna matka nabywa również przy każdej okazji sari po sari. Nie wyjdą one nigdy z mody, nie stracą swej wartości, nawet i za kilkanaście lat!

Będą służyły jednakowo dzierlatce piętnastoletniej, kobiecie w stanie błogosławionym, oczekującej potomstwa, starzejacej się babce.

Cóż za cudowna oszczędność wysiłków i kłopotliwych zabiegów dokoła szmatek niewieścich! Pasażerki wspaniałego „Strathaird“u“ nosiły oczywiście sari najwytworniejsze, ozdobione ręcznym haftem, złotymi koronkami, galonami. Do tego europejską bizuterję, co psuło nieco charakter sukni. Jak również nie pasowały do niej zachodnie płaszcze i obuwie.

Skończyło się między nami, mną a Hinduskami na kilku wystawach i odwzajemnionych, nie bez zdziwienia, uśmiechach. Gdy zaryzykowałam zażyczyć którąś najbanalniejszym pytaniem, nie rozumiała po angielsku.

Kontakt pomiędzy klasą pierwszą (niestety, byłam jej lokatorką), a drugą utrudniony był jeszcze przez okoliczność zgola przypadkową. W Portsaidzie na pokład wsiadła najmożliwsza pani półwyspu, wicekrólowa Indyj, która po oficjalnej wizycie w Egipcie zdążyła do swej stolicy, do Delhi. Pani zresztą miła i przystępna, otoczenie jej jednak, gwardja przyboczna, damy dworu i służba kolorowa w zabójczych liberjach, onieśmiały zwykłych śmiertelni-



Dzielnica handlowa w Bombaju.

ków, oddychających tem samem powietrzem na morzu Czerwonym, albo raczej duszących się brakiem powietrza.

Na statku naszym (klasa druga) jechały również dwie pary nowożeńców, udających się w podróż poślubną, właściwie z Europy, do domu. Były to bowiem małżeństwa mieszane: studenci hinduscy i autentyczne córki Albionu. I tu właśnie ujawniło się spontaniczne oburzenie Anglików. Jak jedna niewiasta, jak jeden mąż!

Coś w rodzaju ubliżenia własnej godności i godności narodowej. Najgrubszy Shocking!

Na temat powyższy stoczyłam nieprzeliczone boje, obrywając za „dziką tolerancję“ i absolutny brak uświadomienia.

Od świeżo poślubionej odwracano głowy, uśmiechano się dwuznacznie i przepowiadano jej czarną dolę przy boku tego „czarnego“ małżonka, który poślubił ją tylko dla żartu, który musi mieć prawowitą żonę w domu i będzie się znęcał nad białą, zamorską (idiotic and stupid!) gołębicą w sposób okrutny.

Napewno dzierlatka nie należy do sfer towarzyskich, bo inaczej... nigdyby nie pozwoliła sobie na podobne szaleństwo! A teraz mniema, że posiadzie wszystkie skarby Wschodu! Stupid!!

Pomijając wszystkie ujemne racje i ryzyko przy zawieraniu, wogóle, małżeństw mieszanych; pomijając w tym wypadku atawistyczną nieufność obopólną, trudno zaiste o bardziej rażący kontrast psychiki i mentalności anglosaskiej i hinduskiej!

Może i mieli rację — „oni“ — uświadomieni i nietolerancyjni?

A jednak, śliczna ta bursztynowowłosa dziewczyna angielska na przekór wszystkim zda się zgromadzonym tu rodakom, ich uprzedzeniom i skrupułom, promieniała szczęściem.

Mąż szczupły, bardzo elegancki młodzieniec w białych flanelach i

granatowym baskijskim berecie, przypominał raczej oliwkową swacerą i ognistymi oczyma południowego Francuza lub Italczyka. Połyskiwał w częstych uśmiechach białymi zębami i prawil zapewne młodocianej małżonce śliczne dusery. Admirował ją wyraźnie.

— A może właśnie ci będą szczęśliwi, bo się miłują! — upierałam się przy swoim. — A może to jedna z przyszytych maharań, można dziedziczka pałaców, ogrodów wiszących, skarbów z tysiąca i jednej nocy. Może to przyszła opiekunka i dobrodziejka podwładnych swych, krzewicielka postępu i cywilizacji w swem państewku?

Świeżo upieczona obywatelka hinduska nosiła nie bez satysfakcji sari. Co dnia inne i coraz barwniejsze, z koronek, żorżety, miękkich atlasów. Wschodnie bransolety, kolczyki długie, wysadzone perłami naszyjniki piękne. Zapewne dary meżowskie.

Młodzi przechadzali się po pokładzie, trzymając się za ręce; nikomu się nie narzucali, no i oczywiście żadnego udziału w harcach i skokach, turniejach sportowych i fikaniu rówieśników swych białolicej nie brali, tak samo, jak cała młodzież hinduska, jadąca z Londynu, trzymała się na uboczu. A na statku tańczono co wieczora. Ochoczo i zapamiętałe. Podczas jednej z tych zabaw tanecznych wynikła awantura.

Anglo-hindusce śmiały się oczy do zabawy, cała była w bieli jak do ślubu, uśmiechała się do wszystkich i gdy zagrano uwodzicielskiego walca, poszła w tany bez namysłu z kolegą swego męża, kolorowym dżentelmenem w smokingu. Mąż, jak zresztą wszyscy inni jego rodacy, tańczyć nie umiał, lub nie chciał, stracił nagle głowę. Uniósł się gwałtownie na samowolę małżonki, nagadał coś po swojemu śmiałkowi i wprowadził skonfundowaną połowicę z zabawy.

W kilka dni nowa kompromitacja wobec wszystkich. Tym razem z u-

trapionym Szkotem. Był taki jeden pasażer, jowialny, kratkowany jegomość, który zaczepiał każdego i wtrącał się do rozmowy. Fotografował też wszystko zapamiętałe: majtków i morze, dzieci i psy, mieszczące w swoim „przedziale“, służbę kolorową i samego pana kapitana. Dlaczego więc nie miał sfotografować pięknej, młodej kobiety w fantastycznie kolorowej szacie, tem bardziej, że z mężem jej gawędził już nieraz.

Ale właśnie, gdy się zbliżył ze swą kamerą i poprosił (grzecznie) Hinduskę o przyjemny uśmiech, Hindus stracił głowę po raz drugi, o mały włos nie roztrzaskał aparatu, a intruzowi nagadał (po angielsku), że żonę ma „wyłącznie dla siebie“. I wprowadził ją znowu zapłonioną i przelęknioną.

— Ach. Boże! — tłumaczyłam szaleńca — nie, tylko szaleje z zazdrości, alboż to nowina, alboż nie może być wszędzie to samo?

Więcej jednak tej młódki nie oglądaliśmy. Nie opuszczała zapewne własnej kajuty. Wśród pasażerów, zresztą, z powodu niewiarogodnych upałów na morzu Czerwonym zaczęła szerzyć się epidemia przykrej wysypki upałowej.

Nic zresztą strasznego!! U nowicjusów połączona była z wysoką gorączką i niedomaganiem żołąd-kowemi. Na dolegliwość tę zapadła i Anglo-hinduska, ale małżonek nie pozwolił, pono, białemu... doktorowi odwiedzenia swej połowicy. Sam ją kurował zamknięty z nią w kabinie. Tak zresztą opowiadali najbliżsi sąsiedzi.

Anglicy triumfowali: On był w zupełnym porządku! Poczynął ze swoją „niewolnicą“ tak, jak czynili wszyscy mężowie na półwyspie, strzegąc zazdrośnie kobiety swe przed pożądlivością wszystkich mężczyzn na świecie! Miał ją mieć tylko dla siebie i dlatego zamykał w *zenanas*.

Musiła być do tego przygotowana ta niemądra, której się zachciało „bajki arabskiej“! J. L.

JANINA BRZOSTOWSKA

MYŚLĘ O TOBIE...

*Niebo jest tak błękitne i tak pełne ciszy —
białych piór lejących chmur ani mysokich wichrów nie słyszę —*

*Położyła się u moich stóp zielona, zielona łąka —
pośród roysmukłych traw jasnym lśnieniem powiem się błąka.*

*Myślę o tobie, kochany — myślę o tobie — i o tem,
czy chciałbyś ze mną być tutaj — u morza zatoki złotej?*

*Bo nie wiem, czy lubisz łąki? nie wiem, czy lubisz morze?
Czy także chciałbyś się czasem w pachnące trawy położyć?*

*Czy cię przejmuje niekiedy mocniej, niż gwar miast wielkich
cisza pod modrem niebem, pod obłokami białemi?*

*Jeśli umiesz niebo i zieleń w sercu swoim jak ja ugościć
przyjdź — zarzemy radosny układ jednakowej, mocnej miłości...*

KRWAWE DNI PARYSKIE

(Korespondencja własna „Bluszczu”).

Już od pewnego czasu odbywały się manifestacje uliczne, lecz były one naogół dość spokojne. Tu i ówdzie połamano kilka ławek, lub wybito kilka szyb, lecz dopiero we wtorek dn. 6 b. m. rozegrał się prawdziwy dramat, który kosztował tyle ofiar.

W poniedziałek już wiedzano, że manifestacje będą niezwykle liczne i że dawni żołnierze Wielkiej Wojny urządzą pochód, aby protestować przeciwko nadużyciom i przeciwko rządowi Daladier. Protestowano również przeciwko usunięciu prefekta policji, Chiappe, bez powodu. Drugi pochód urządziła wybornie zorganizowana „L'Action Française”, inne pochody jak „Młodzieży Patrijotycznej”, oraz pochód, mający na czele radnych miasta etc., były również zapowiedziane.

Około godziny 6-ej zaczęli się zbierać manifestanci na placu Concorde, jednym z największych i najpiękniejszych w Paryżu. Jest on jakby centrum miasta, gdyż z jednej strony dotyka rue Royale, wiodącej do kościoła Madeleine i wielkich bulwarów, z drugiej, naprzeciw pałacu parlamentu, z dwóch innych stron zamykają go Pola Elizejskie oraz ogród Tuileries. Blisko 50.000 osób znajduje się na placu i na Polach Elizejskich. Na czele dawni kombatanci ze sztandarami. Tłum śpiewa „Marsyljankę” i stara się dojść do gmachu parlamentu. Przed nim kordon policji i gwardja konna miejska. Ale jest jej za mało, więc wzywają posiłki. Sam nowy prefekt policji kieruje akcją. Manifestanci wołają do policjantów: „Niech żyje Chiappel!”. Zresztą policja bardzo poprawnie zachowuje się względem manifestantów i jeśli stawia im opór, to bez żadnego wrogiego charakteru. Manifestanci z pochodu „Młodzieży patrijotycznej” wołają do policjantów: „Chodźcie z nami! Niech żyje Chiappel!”, lecz policjanci pilnują lojalnie porządku. Zato, gdy w pewnej chwili ukazują się komuniści z czerwonym sztandarem, coprawda dość nieliczni i dążą do spotkania się z manifestantami, policjanci rzucają się na nich i momentalnie rozpędzają.

Na placu Concorde tłum buduje rodzaj barykady, mającej bronić go przed natarciem gwardji konnej. Lecz gwardja szarżuje i łamie barykadę. Wtedy i manifestanci zaczynają się bronić, a gwardja wyciąga z pochew szabie. Dokoła słychać gromkie krzyki: „Dymisja! Dymisja! Mordercy!”.

Z tłumu wydzieliła się o godzinie 7-ej m. 15 pochód dawnych kombatantów ze sztandarami na czele,

śpiewając „Marsyljankę” i dążąc w stronę parlamentu. I jednocześnie rozlega się strzał i okropny krzyk wstrząsa tłumem:

„Strzelają do dawnych żołnierzy!”.

Krzyk wzmaga się jeszcze bardziej po nowych salwach. Manifestanci zaczynają się bronić ze wściekłością. Łamią pierwsze kordony u mostu, dochodzą prawie do parlamentu. Nowe szarże, nowe salwy. Wreszcie tłum zostaje odrzucony w stronę rue Royale, gdzie próbuje podpalić Ministerstwo Marynarki. Robi się ciemno z powodu przewracanych latarni. Manifestanci, aby oświecić plac boju, podpalają zatrzymany przez nich autobus. Krwawe światło powiększa jeszcze grozę chwili.

Tymczasem dawni żołnierze, porzucając plac Concorde, udają się w stronę pałacu Elizejskiego, do prezydenta Republiki. Na czele idą sztandary. Wszyscy przypięli ordery i medale. Tłum odkrywa głowy na ich widok, wiwatuje. Lecz już u wejścia na faubourg St. Honore wpada na nich, szarżując, gwardja miejska. Sztandary chwieją się, padają ranni. Przenoszą ich do kawiarni sąsiednich, gdzie wszystko, co można, zostało przygotowane do opatrunków.

Kilka razy powtarza się ta sama scena. Liczni, dawni żołnierze są ranni.

W tym samym czasie rząd targuje się z parlamentem o interpelacje. Leon Blum, zły duch lewicy, stara się pokierować sytuacją, lecz ogólne rozdrażnienie doszło już ostatecznych granic. Przemawiać za-

czyna p. Franklin-Bouillon, piętnując w energicznych wyrazach postępowanie rządu Daladier. Wtem rozlega się hałas: wchodzi kilku posłów, wołając: „bija się na placu Concorde! Gwardja strzela do tłumu!”.

Jerzy Scapini, poseł Paryża, inwalida Wielkiej Wojny, ślepy na oba oczy, zrywa się wyprostowany, śmiertelnie blady. W poprzednich manifestacjach poturbowano go kilka razy również. Zwraca się w stronę ławy ministrów:

„Panie prezesie ministrów, czy wydał pan rozkaz, aby strzelano?”.

P. Daladier milczy. Ogólne poruszenie.

Jerzy Scapini powtarza dobitnie:

„Czy dał pan rozkaz? Niech pan odpowiada!”.

Wrzawa wybucha na lewicy i na prawicy, lecz p. Daladier wciąż milczy.

Jerzy Scapini dodaje:

„Zabijasz pan system polityczny, pokryty przez pana krwią!”.

Poseł Lionel de Tastes woła:

„Prefekt policji powiedział mi przed chwilą, że strzelają! Idźcie zobaczyć na moście Concorde!”.

Jerzy Scapini: „I to są wasze rządzy!”.

Poseł Blaisot: „Niech rząd idzie precz!”.

Poseł Blaisot: „Strzelają do tłumu! Wszyscy posłowie Paryża protestują!”.

Jerzy Scapini: „To rząd morderców!”.

Poseł Franklin-Bouillon kończy zaczęłą przemowę, zauważając ironicznie: „Jaka jest kwestja dnia w partji radykalnej? Czy klientela Herriot'a zabije klientelę Daladier'a i przeciwnie”. Poczem woła pod adresem rządu:



Kuchnie polowe na ulicach Paryża.

„Wiecie, że kraj jest u progu ruiny finansowej i inflacji!... Wiecie, że Niemcy otwarcie przygotowują wojnę przeciwko nam, że są całe przeciwko Francji, że jutro, na początek, chcą pochłonąć Austrię. I w dalszym ciągu organizujecie pan wojnę pomiędzy Francuzami”.

„A trudności rosną na zewnątrz i wewnątrz. Trzebaby połączyć wszystko, co mogłoby ratować kraj, a pan myślisz tylko o przekabaceniu kilku nieszczęśników, aby przetrwać kilka marnych dni”.

„I dlatego zaparłeś się pan swego słowa honoru, nie dotrzymałeś pan swoich zobowiązań. Jesteś pan niegodny być tutaj. Idź precz!”.

W dobrze znanej Polakom kawiarni Webera na rue Royale zorganizowano rodzaj dobrowolnego ambulansu. Doktorzy i infirmierki opatrują rannych. Jakiś chłopiec piętnastoletni przychodzi do kawiarni. Rana od szabli w nodze. Ale zaledwie skończono go opatrywać, wychodzi, aby wrócić na plac Concorde. Chce się bić.

Mnóstwo ciekawych skupia się przed Weberem. Policja zaniepokojona zaczyna ich rozpędzać. Rozchodzą się niechętnie, ze złowrogim pomrukiem. Są już i trupy. Ciężej rannych ambulansy miasta odwożą do szpitali. Jest wielu rannych i po stronie gwardji i policji.

Kilku radnych miasta rannych szło na przedzie, nie dbając o własne bezpieczeństwo. Kilku z nich dotarło do parlamentu i zażądało widzenia się z p. Daladier. Prysłano im ministra Sprawiedliwości, p. Penancier. Radni miasta żądają od niego, aby położył kres strzelaninie i mordowaniu tłumu.

„Ale jak”, pyta zakłopotany minister.

A na to jeden z radnych, p. des Isnards odpowiada:

„Podajcie się do dymisji. Biorę na siebie odpowiedzialność o ten tłum i rękę, że za pół godziny wszystko się uspokoi”.

Walki i starcia trwają późno w noc. Na moście Concorde wezwano wojsko, aby utworzyć mocny kordon. Jakiś młodziutki żołnierz drży i płacze. Mówi do oficera:

„Tam w tłumie jest mój ojciec. Ja nie mogę tu stać, nie mogę”.

Oficer rozumie rozpacz chłopaka. Każe go cofnąć na tyły szeregu.

W paryskim Palais de Justice adwokaci i adwokatkki biegają rozdrażnieni, głośno wyrażając swe oburzenie na ich kolegę, ministra Spraw Wewnętrznych, p. Frot, którego głos publiczny jeszcze bardziej obwinia, niż Daladier. Nareszcie znajdują togę i biret ministra i, urządziwszy rodzaj stosu, palą togę i biret, domagając się jednocześnie wymazania p. Frot z listy adwokatów. Czy to nastąpi w samej rzeczy, niewiadomo, lecz adwokaci dali upust swemu oburzeniu.

Nareszcie rząd podał się do dymisji. Doumergue, b. prezydent Republiki, przyjeżdża i tworzy nowy rząd. Następuje odprężenie nerwów. Ale choć lubiący portfele ministra Herriot należy do nowego gabinetu, gdzie go wezwano, jako „malum necessarium”, Leon Blum i radykałowie nie mogą się pogodzić z faktami. I oto mamy 24-godzinny strajk ogólny. Kolej chodzą mimo to i sklepy są otwarte, mamy gaz i elektryczność i wodę. Ale niema listów ani gazet, prócz „L'Action Française”, organu rojalistów, niema autobusów ani tramwajów. Nazajutrz wraca wszystko do zwykłego stanu. Tylko auta strajkują,

co bywa przyczyną malowniczych przyjazdów i odjazdów. (Sama odprowadzałam w ten sposób męża mego na dworzec Est). Na murach wśród mnóstwa proklamacyj i afiszów odezwa księcia de Guise, pretendenta do tronu Francji, oświadcza między innymi: „Tylko monarchja da wam spokój i porządek”. Przystają przed nią i przed afiszami przechodnie, czytają, czasem komentują i... idą dalej. Co będzie jutro?

Dr. M. Kasterska.

W KRAINIE BAŚNI I SŁOŃCA

Któż z nas nie marzył, aby choć raz w życiu zobaczyć Wschód, tę krainę baśni i słońca, słynącą z pięknych kobiet, wspaniałych ogrodów, arcydzieł sztuki i przepychu, który stał się już nawet przysłowiowym. Wysmukłe wieże minaretów, wspaniałe wnętrza meczetów, i różnorodna roślinność wabią ku sobie turystów z całego świata. Jednych ciągnie Wschód, jako kolebka kultury, innych jako miejsce męczeństwa i śmierci Chrystusa Pana, innych wreszcie pociągają, zalane słońcem, wąskie i kręte uliczki miast wschodnich, pełne jakiegoś tajemniczego uroku, lub złocejące się gaje pomarańczowe i cytrynowe.

Jednym słowem poznać Wschód pragnie chyba każdy człowiek w Polsce. Doniedawna jednak odbycie wycieczki w te strony połączone było z wielkimi niewygodami i kosztami, wobec braku bezpośrednich połączeń. Obecnie, dzięki uruchomieniu przez Polskie Transatlantyckie Towarzystwo Okrętowe „Gdynia — Ameryka” nowej linii Polsko - Palestyńskiej, wycieczki na Wschód nie będą się niczem różniły pod względem fatygi od popularnych już wycieczek do krajów skandynawskich, Anglii, Holandji i t. p.

Wygodne, komfortowo urządzone statki przewozić będą pasażerów polskich z portu w Constanzy do Jaffy, zawijając po drodze do Konstantynopola, Haiffy i Pireusa. Do Constanzy zaś kursować będą z Polski bezpośrednio, specjalne pociągi pospieszne. Polska obsługa statków, polska kuchnia, oraz wyjątkowo serdeczny i wesoły nastrój towarzyski, panujący na wszystkich wycieczkach morskich Linji Gdynia — Ameryka, gwarantują podróżom na Wschód dużą popularność w naszym społeczeństwie.



Ogólny widok Tel-Awimu.

WYCHOWANIE I SZKOŁA

MY, NOWE HASŁA I NASZE DZIECI

II.

Program ministerjalny podaje lekturę szkolną i doradza domową. Określa znaczenie i rolę poszczególnych przedmiotów w kształtowaniu psychiki dziecięcej. Obmyśla, jak ma działać nauka języka polskiego, a jak historii, jak religji, a jak przedmiotów przyrodniczych. Dobiera sobie podręczniki i urabia wychowawców, słowem, stwarza normy dla wszystkich jednakowe, które wychować mają człowieka obywatela. Najlepszy jednak program i najumiejętniejsza praca nauczycielska nie może zawisnąć w powietrzu, nie może zastąpić nastawienia moralnego, wyniesionego z domu. Nie może wreszcie dać odpowiedzi na wszystkie dręczące pytania.

Bo nie ludźmy się, że jeżeli nie dostrzegamy trudności i sprzeczności życia dzisiejszego, to nie dostrzegamy ich i młodzież. Że jeżeli my poprzestajemy na kompromisie, to i ona zadowolony się nim.

Życie, które osacza dzisiejszego chłopca i dziewczynę, jest tak bogate i skomplikowane, niezrozumiałe i dziwne, że nie wiem, jak oni sobie z tem dają radę. Po starym pół dnia siedzą w szkole i zajmują się interpretacją starych tekstów. Jak wygląda wówczas, jak się rysuje w młodzieńczej wyobraźni biały Anhellu na tle czarnego kryzysu i bezrobocia? Do jakich myśli daje akompaniament pieśń zemsty młodych chłopców z filmackiego grona? Czego odpowiednikiem staje się obecnie Irydjon, Masynissa, Korrdjan, Konrad? Czy są muzealnym rekwizytem wobec rwącego potoku życia, czy żyją tak realnie i wyrażają, jak dla nas, czy też stanowią męczący dysonans z tem wszystkim żywym, co się pragnie interpretować, komentować i przeżywać.

Być może, że zachodzi tu wszystko naraz.

Dorastający chłopiec czy dziewczyna w domu, na ulicy, z rozmów w tramwaju, z prasy, z radja otrzymuje wiedzę o niepokoju i rozterce życia dzisiejszego. Tyle się przecież dzieje. W domu? Dwulicowość i ośbłuda starszych wobec zagadnień moralności. Dorosłym wolno kłamać, grzeszyć seksualnie, młodym — nie. Na ulicy? Oto w szybkim tempie przechodzą chłopcy z przysposobienia w maskach gazowych, z

karabinami. Upał, słońce. Mały ośmiolatek wdryga się „Jak im gorąco, duszno, jak oni się męczą. Może upadną w drodze?” Widział przypadkiem fotosy z „Drewnianych krzyży” i teraz kojarzy przerażenie, którego doznał wtedy, z widokiem szczupłych chłopców, pędzących rozpaloną ulicą. „Poco to? Ja nie chcę wojny?” Dziewczynnie wpada w ręce „Pieńko kobiet”. Chłopiec czyta Sinclair'a „Król węgla”, widzi tłumy niewolniczych górników amerykańskich. Oszukują ich przy wadze wyrąbanego węgla, zmuszają do zakupu w sklepach towarzystwa wstrętnych produktów po maksymalnej cenie. Wyzysk z dwóch stron, ratunku znikąd. Agnes Smedley opowie mu o stalowych więzieniach amerykańskich. Gazety przyniosą wiadomość o wzroście bezrobocia. Zewsząd sączyć się będzie ponura i przejmująca prawda o życiu.

Jednocześnie radjo poda: Dziennik sportowy. Heljasz, Tłoczyński, Jędrzejewska, Walasiewiczówna — nazwiska migocą, jak sztandary swobody i siły. Kojarzy się z nimi obraz rozpiętych płasko kortów, zalanych słońcem wolnych przestrzeni, wiatru, nieba, wody. Prężą się mięśnie, szerzej oddycha pierś. Hej, frontem do morza, do Wisły, do jezior, do lasów, do gór.

Sądzę, że trudno jest uczynić dzisiaj wybór ideału tak, jak tego pragnie bezwzględna i nie znosząca kompromisu dusza młodzieńcza. Po prostu za dużo jest tego wszystkiego i jakoś nie można się z tem uporać. Tyle niesie życie.

Dawniej pomocą w budowie pionu moralnego była literatura. Można było sobie wypowiedzieć wszystko, czego się pragnęło, szepać za czarnym pociętym pulpitem:

— Ha! zemsta, zemsta, zemsta na wroga! — albo też powtarzając sonet Asnyka.

Teraz lektura szkolna to jeden szkopuł więcej, jedna więcej trudność do przezwyciężenia.

I dlatego wiem z całą pewnością, że tutaj może dopomóc tylko dom. Dom, pojęty w sensie istotnej, ciągłej i wyłożonej pracy w kierunku zdobywania wiary.

Zjawiska, które nas otaczają, są tak ciekawe, trudne, nowe, przeobrażające się z dnia na dzień w naszych oczach, że narówni z naszymi dziećmi możemy stać się wiecznie młodymi poszukiwaczami prawdy.

Możemy się nie starzeć.

Myślę o tych osłoniętych ciężką mgłą czasach, przedstawionych w powieściach Zapolskiej czy Gawa-

Krzywica!



Tę straszliwą chorobę wieku dziecięcego zwalczą tran wątrobiany w połączeniu z solami wapniowymi. Emulsja Scotta zawiera właśnie najlepszy norweski tran wątrobiany o standaryzowanej, najwyższej ilości jednostek witamin A i D oraz sole wapniowo-fosforowe i dlatego stanowi skuteczny lek przeciwko krzywicy i innym zaburzeniom w rozwoju kośćca. Dawajcie zawsze zatem Waszym dzieciom jedynie prawdziwą

EMULSJE

TRANOWA

SCOTTA

Do nabycia już od Zł. 2.—



lewicza, że jednak wtedy było bardzo trudno żyć. W tych salonikach średniej burżuazji nietylko w pluszowych portjerach i serwetach czaiła się stęchlizna. Panowała również w pojęciach i wyobrażeniach. Można było urodzić się, przejść przez życie i umrzeć wśród tej samej atmosfery.

Teraz samo życie nas popędza. Ażeby sprostać ciągłym zmianom, jakie zachodzą pod nami i ponad nami, w życiu szarych mas i w odkryciach i pracach uczonych, ażeby stać na poziomie europejskim, powinniśmy być ciągle, jak studenci. Poszukiwać, pracować, badać, poddawać rewizji te poglądy, które zrosły się z nami, a które z punktu widzenia dobra ludzkości zostały obecnie zaatakowane. Czy to będzie nacjonalizm, czy kwestja małżeństwa, zagadnienia własności prywatnej, czy granic celnych, trzeba rozstrzygać wszystko nanowo, w miarę, jak te zagadnienia wysuwają się na czoło, nabrzmiewają i stają się pałace.

Wtedy tylko ściany naszego domu napelniają się żywą pulsującą treścią. I wtedy przeżywać będziemy wszystko razem z naszymi dziećmi, nie narzucając im już gotowych skamieniałych formuł, lecz zdobywając, wypracowując wspólnie coraz pełniejszy i piękniejszy świat wierzeń. Coraz bardziej tolerancyjny i coraz głębszy katolicyzm, jeżeli jestem wierzącym katolikiem, coraz odważniejszy pacyfizm, jeżeli jestem pacyfistą.

Musimy być tylko bezwzględnie szczerzy i unikać za wszelką cenę

konwencjonalizmu i obłudy. Opierać się na możliwie najszerszej podstawie, którą bezwzględnie jest tylko dobro całej ludzkości, a nie pożytek jednej narodowości, rasy czy wyznania. Przelamywać w sobie konserwatyzm, to tak dobrze znane, miłe, wygodne obstawanie przy starem. I nie bać się. Nie obawiać się własnego wpływu na duszę dziecka.

Bezideowość zabija. Dzieciom i młodzieży potrzeba gorącej atmosfery zapału i miłości. Tylko w takiej atmosferze dojrzewać mogą tęgie charaktery.

Zofja Sikorska-Bogustarska.

BRACIA I SIOSTRY

Dom rodzinny jest, jak się to ładnie mówi, „kuźnią charakterów” młodzieży, a mówiąc poprostu przygotowaniem dzieci do ich przyszłego, samodzielnego życia.

Człowiek czuje się najszczęśliwszy pomiędzy swoimi najbliższymi. Dlatego też dzieci nasze wychowujemy tak, aby wyrobić w nich zadatki tych cnót, które umożliwią im harmonijne współżycie wówczas, gdy same ogniska rodzinne założą. Aby człowiek wydajnie mógł pracować dla społeczeństwa, koniecznym warunkiem jest, aby był szczęśliwy w swem osobistym życiu. Nieszczęśliwym, a mimo to pożytecznym dla ogółu, może być tylko genjusz.

Wychowujemy więc dzieci tak, aby mogły być szczęśliwe. Co się w tym kierunku robi? Odpowiedź prosta: kształci się charaktery przedewszystkiem pod kątem dnia codziennego.

Wiemy, że w nadzwyczajnych okolicznościach porządny człowiek zdobędzie się na czyn heroiczny. Szczęście jego jednak i jego najbliższych uzależnione jest przecież przedewszystkiem od tego, jakim ten człowiek jest w życiu codziennym, a nie od jego heroicznych czynów.

Wyobraźmy sobie liczniejszą rodzinę, w której wychowuje się kilku synów i kilka córek. Marzeniem rodziców jest, aby dzieci te były szczęśliwe i w domu rodzinnym, co przeważnie leży w możliwościach rodziców, a więcej jeszcze później, gdy zaczną żyć samodzielnie. Mamy nadzieję, że pokochają, założą ogniska domowe. Czy zastanawiamy się, jakimi będą mężami, jakimi będą żonami?

Dawnemi czasy mówiło się poprostu: przykład rodziców, atmosfera domu rodzinnego z czasów dzieciństwa będą działały. Nie może być złym mężem syn porządnego człowieka i t. d.

Dziś niezupełnie możnaby się z tem zgodzić. Dobry przykład znaczy wiele, ale niewszystko. Są zresztą ludzie, którzy muszą się przekonać sami, aby uwierzyć. Poza tem: jeżeli ojciec rodziny był bożyszczem w domu, w którym cicha i potulna żona była służką najniższą wszystkich domowników, to jeszcze nie dowód, iż syn ich będzie również bożyszczem w swoim domu, gdzie towarzyszką mu będzie nowoczesna kobieta pracująca. A przecież powinien być szczęśliwy i może nim być, jeśli go odpowiednio wychowamy.

Tam, gdzie dzieci, synów i córek, jest więcej, sytuacja wychowawców jest znacznie łatwiejsza. Mamy mnóstwo okazji, z których możemy wyciągnąć odpowiednie wnioski wychowawcze.

Wiele już na ten temat pisano, ale zawsze jest on bardzo żywotny.

W przeciętnym domu córka pomaga matce w jej zajęciach domowych. Jest to najzupełniej słuszne i wskazane. Nawet mała dziewczynka spełnia już cały szereg prac dla niej dostępnych. Jeżeli nią odpowiednio pokierować, czuje się dumna, że już może pomagać i jest zupełnie zadowolona. Uważamy to za zjawisko najzupełniej normalne. Synowie jednak za mali są jeszcze, aby pomagać ojcu w jego interesach. Cóż więc się dzieje? Córki poza swojemi obowiązkami szkolnemi mają jeszcze pewne obowiązki domowe. Synowie, odrobiwszy lekcje, są wolni od wszelkich prac. Jest to wysoce niesprawiedliwe. Córki próbują się niekiedy buntować, ale rodzice nie uważają za konieczne zmienić stan rzeczy. Tymczasem i synowie mogą się w domu bardzo przydać, a przedewszystkiem powinni również zapoznać się praktycznie z pracami domowemi.

Życie zmieniło się ogromnie i prawdopodobnie zmieni się jeszcze bardziej. Nie mamy żadnej gwarancji, iż synowie nasi w przyszłości będą na posadach takich, czy innych, czy będą tylko prowadzili własne interesy, nie zajmując się domowemi pracami. Możliwe przecież, iż żony ich będą musiały pracować zarobkowo, aby zrównoważyć budżet domowy. Nie przygotowując zatem synów praktycznie w tym kierunku, narażamy ich na przykre doświadczenia, kiedy życie tego zażąda, względnie wychowujemy przyszłych władców i satrapów, którzy obojętnym okiem będą patrzyli, jak „umiłowana żona” po zmudnej pracy biurowej morduje się nad zajęciami domowemi, w których powinni jej pomóc.

Przeważnie nic się nie robi, aby wychowywać synów na przyszłych

towarzyszów czyjegoś życia. Wspomnieć tu trzeba też o wyrabianiu w chłopcach delikatności uczuć. Chłopcy są silniejsi od dziewczynek oczywiście, ale można ich przekonać, iż siła fizyczna nie daje im prawa do brutalnego traktowania siostr. Wrodzoną brutalność można jednak zmniejszyć, przefiltrowując ją na siłę charakteru. W życiu codziennym, jak już wspomniałam, siła charakteru ma niesłychane znaczenie.

Tkliwe starania kobiece opromieniają życie mężczyzny. Dlaczego jednak nie starać się, aby w życiu codziennym było i vice versa?

Jeżeli koniecznie musi panować nagminny zwyczaj, aby dorastająca córka musiała przygotowywać rynsztunek balowy czy sportowy dla dorastającego brata, gdyż brat ten naturalnie przez osiemnaście lat życia w jednym domu dotąd nie wie, gdzie leżą ręczniki czy chusteczki do nosa, albo że do cerowania pończoch bawelna jest w szkatułce na toalecie mamusi, to z drugiej strony niech ten brat nie robi z siebie największej ofiary, jeśli w zastępstwie rodziców ma iść z siostrą na wieczorek, a na tym wieczorku niech zaopiekuje się trochę siostrą, zamiast kończyć z nią rozpoczęte w domu kłótnie.

Jest rzeczą bardzo słuszną, aby rodzeństwo wzajemnie robiło sobie różne usługi. Nie mogą jednak rodzice spokojnie aprobować sytuacji, gdy młodsza siostrzyczka musi się braciom na każdym kroku i od najwcześniejszych lat wysługiwać, a za to słyszy tylko burkliwe odpowiedzi i grzmiące rozkazy, stale zaś jest odsuwana od jakichkolwiek przyjemności: wspólnych spacerów, wycieczek, czy zabawy.

W wychowaniu córek liczyć się musimy z ich ewentualnemi trudnemi warunkami życia. Wrodzoną dziewczynkom delikatność uczuć poprowadźmy we właściwym kierunku, aby nie stała się ślamazarnością i biernością. Od najwcześniejszych lat, gdy bawią się z braćmi, wrabiajmy w nich hart i odporność na tak zwykłe w wieku dziecięcym „krzywdy”. Jeżeli chcą się wspólnie z braćmi bawić, interwenjujmy tylko w rzeczywistości ważnych momentach, gdy silniejszy dokucza słabszemu. Natomiast nie tolerujmy skarg i płaczów o byle głupstwo.

Pamiętajmy, że dziś nasza wypieszczona córeczka z każdym głupstwem biegnie się skarżyć do nas, a w przyszłości, jako żona, pójdzie się użalać przed przyjaciółkami, czem może zniszczyć całkowicie swoje szczęście małżeńskie. Z drugiej strony siostrzyczki, bawiące się z braćmi, powinny mieć siłę cha-

rakteru, która sprawia, iż bracia mogą na nich polegać. I to również wpłynie poważnie na wykształcenie przyszłych towarzyszek życia.

Dlatego niezawsze mogą wychowawcy dać wyraz swemu oburzeniu, jeśli jedno z dzieci ukryje przed rodzicami błąd brata czy siostry. Uczucie solidarności jest niestety specjalnie rzadkie u kobiet. Dobrze jeśli się objawi nawet w tak mało pociągającej formie. Poza to trzeba dodać, iż dobry wychowawca powinien raczej sam dostrzec to, co się złego dzieje pomiędzy jego wychowankami, niż czekać na tak przykre doniesienia. W trudnych sytuacjach lepiej pozostać konieczne wyjaśnienia czasowi.

Siostry, chowające się razem z braćmi, są zwykle więcej zahartowane i odporniejsze na zmęczenie fizyczne, niż dziewczynki-jedynaczki. Jest to zupełnie naturalne i nie należy stosować tu dwóch miar, np. zabraniać dziewczynkom korzystania ze sportów w tym samym stopniu co chłopcy, ani zmuszać je do obowiązkowego cieplejszego ubrania wtedy gdy chłopcy bez szkody dla zdrowia noszą lżejsze. Oczywiście należy tu zawsze brać pod uwagę indywidualne warunki fizyczne.

Dziewczynki, wychowywane w rodzinie razem z chłopcami, są śmielsze i dzielniejsze. Są to tak cenne przedmioty, iż nie należy ich umniejszać przez złe pojętą troskliwość.

Jeżeli w danej rodzinie są sami chłopcy, albo same dziewczęta, korzystne będzie dobieranie im odpowiedniego towarzystwa, zarzucając oczywiście zasadę, iż chłopcy mogą się dobrze bawić tylko z chłopcami, a dziewczynki z dziewczynkami. Jakkolwiek dzieci zwykle najchętniej same dobierają sobie towarzystwo, przecież rozumni rodzice mogą swoim dzieciom wybrane przez siebie towarzystwo narzucić. Naturalnie można to zrobić w sposób rozumny, to znaczy nie zmuszać dziecka do zabawy z antypatycznym mu towarzyszem lub towarzyszką, ale wybrać takich kolegów i koleżanki, z którymi nasze dziecko może mieć jakieś wspólne zainteresowanie.

Dom rodzinny jest jakby laboratorium. Nie można więc trzymać w nim dziecka w warunkach sztucznych. Jedynek, czy jedynaczka, przebywający stale w towarzystwie starszych, ponosi do pewnego stopnia krzywdę, gdyż jest pozbawiony właściwego mu środowiska.

Cechy, potrzebne do późniejszego, harmonijnego współżycia rodzinnego, nie rozwijają się w przyszłych mężach i żonach, jeśli nie będziemy o to dbać.

Hanna Koryzna.

O POTRZEBIE KULTURY MUZYCZNEJ

Każdy, kto obserwuje życie intelektualne w Polsce w czasie obecnego kryzysu, dochodzi do smutnych wniosków w stosunku do naszej kultury artystycznej, powiemy jaśniej: do naszego reagowania na piękno. Czytelnik pośpiesz tu z odpowiedzią, która się pozornie naturalnie nasuwa: kryzys i jego skutki będą jej treścią. Wydaje mi się, że twierdzenie to, tak powszechne, że się niemal zamienia w komunał, jest najkrótszym rozwiązaniem tej kwestji. Kryzys jednak panuje nietylko u nas, ale na całym świecie. Dlaczego więc gdzieindziej jest inaczej? Należałoby zatem poddać rewizji nasz stosunek do piękna, a co zatem idzie — sposoby jego krzewienia.

Jeżeli sięgnąć do czasów coprawda bardzo dawnych, ale żyjących wciąż w naszej kulturze europejskiej, do Grecji antycznej, to łatwo się przekonać, jak dalece sztuki piękne i życie szły tam w swoim rozwoju równolegle. Dość zacytować Platona i jego poglądy na muzykę („Symposion“), jako na sztukę nietylko o znaczeniu estetycznym, ale i wybitnie etycznym w wychowaniu. Wiemy wszakże, że w Sparcie kultura muzyczna młodzieży łączyła się integralnie z jej wychowaniem fizycznym, że igrzyska dawały pole do popisu nietylko atletom, ale i licznemu szeregowi muzyków i poetów greckich.

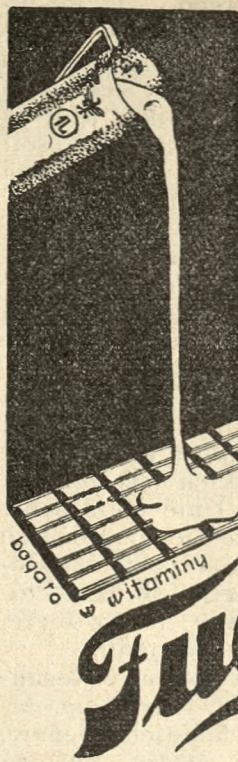
Wiem, że spotka mnie tu zarzut, że to było... tak dawno, że współzawodnictwo i walka o byt w owych czasach były mniej intensywne a życie mniej twarde.

Więc uczynmy wielki przeskoku współczesności. Proszę spojrzeć na kulturę muzyczną w pobliskiej nam Czechosłowacji i w krajach bałtyckich. Przez kulturę tę rozumiem nietylko mnogość szkół muzycznych, kształcących zawodowców, lecz wprost wręcz — reagowanie na muzykę wśród mas jak najszerzych.

Dlatego — na muzykę, że dźwięk nietylko w rozwoju dziecka, ale i w rozwoju historycznie najdawniejszych społeczeństw ludzkich wyprzedził powstanie słowa. Dlatego również, że muzyka, która się wypowiada na całym świecie językiem tych samych dźwięków, jest przez to sztuką najbardziej międzynarodową.

Zwiedzając w roku ubiegłym szkolnictwo średnie i powszechne w Czechosłowacji, naocznie mogłem stwierdzić, że podstawy krzewienia kultury muzycznej w tym kraju są zgola od naszych odmienne. Metoda kształcenia oparta jest

MATHI! UWAGA!



Każda stugramowa tabliczka prawdziwej mlecznej czekolady

Fuchs

zawiera $\frac{1}{3}$ litra świeżego niezbiernego mleka w skoncentrowanym stanie. Oryginalny smak śmietanki i kremu jest charakterystyczną cechą prawdziwej mlecznej czekolady

na tworzeniu zespołów muzycznych, czy też wokalnych, w konsekwencji dopiero eliminująca z nich jednostki bardziej utalentowane, nie zaś — odwrotnie. Zespoły te rozsiane po całym kraju w postaci chórów i orkiestr szkolnych, seminaryjnych, czy też wręcz — ludowych, stanowią ogniwa łańcucha, który, jeśli o muzykę idzie, opasał mocno Czechosłowację.

Idźmy dalej: w małych nawet osadach, gdzie utworzenie chóru jest niemożliwe, kwitnie muzyka kameralna: kwartet smyczkowy, wędlniający długie wieczory zimowe.

Wychodzi się tam ze słusznego założenia, że lepiej jest być poprawnym członkiem kwartetu, czy orkiestry, niż miernym „solistą“, nadto w ten sposób poznaje się najlepiej dzieła dawnych, dobrych mistrzów.

W krajach bałtyckich, zwłaszcza na Łotwie i w Estonji, przeważają zespoły wokalne. Tam dąży się do wytworzenia „komórek“ muzycznych w postaci chórów w całym kraju. Poza kształceniem indywidualnym danego chóru, pracę tę traktuje się również społecznie. Związek chóralny krajowy odbiera kilka utworów, przeważnie z pieśni ludowych, rozsyła odpisy „głosów“ po całym kraju; docierają one do chórów prowincjonalnych i są tam studjowane. Raz do roku w okresie feryj następuje zjazd śpiewaczy z całego kraju do stolicy. Uroczystość taką widziałem w r. ubiegłym w Rydze. Zjednoczo-

ne chóry z całej Łotwy wykonały tam wspólnie szereg wystudjowanych utworów w sposób bardzo dobry, dodajmy do tego — malowniczy, gdyż przedstawiciele odnośnych prowincyj wystąpili w swych strojach ludowych. Poza zadowoleniem artystycznym, jaką spójnią narodową są podobne uroczystości! Starałem się zaobserwować, na czym polega rozwój muzyczny w szkolnictwie; zauważyłem tu również tę samą metodę. Nauczyciel stara się pracować z całą klasą nietylko gwoli wystudjowaniu kilku przepisowych utworów, ile dla zapoznania młodzieży z pieśnią ludową swego kraju dla niej samej. Dlatego też, jako wykonawcy tych pieśni, chóry państw bałtyckich (słyszeliśmy je i w Warszawie) nie mają sobie równych. Jednocześnie, podróżując po własnym kraju, stają się one szerzycielami rodzimego folkloru, który u nas, powiedzmy to szczerze, pozostaje jeszcze zapoznany.

Pociechą być tu powinny stosunki, jakie zauważyć można na naszych ziemiach zachodnich. Niemcy, okupujący ziemie nasze, surowo bronili używania słowa polskiego, nie byli jednak w możności wzbromienia pieśni. Powstawały więc chóry regionalne, w Poznańskim, na Pomorzu, w Gdańsku.

Te dobrze zakonspirowane „komórki” muzyczne robiły swoje: nietylko umuzykalniały swych członków, ale miały wbrew swej intencji wybitne znaczenie społeczne. I dzisiaj, w Polsce niepodległej, kiedy ostatnia rola ich została skończona, pozostały owoce kultury muzycznej, na której wychowywało się i wychowuje nadal młode pokolenie na ziemiach zachodnich Rzplitej. Stosunkowo większa ilość chórów, niż orkiestr łatwo się tłumaczy kosztem nabycia instrumentów. Po części też właściwością naszego usposobienia, idącego wzorem krajów bałtyckich, raczej po linii wokali niż muzyki instrumentalnej.

W tem, co napisałem, kryje się jednocześnie nietylko stwierdzenie stanu rzeczy (najgorszego chyba w b. Kongresówce i na Kresach), ale i sposób, w jaki nawet w czasach kryzysu dąłoby się sprawy naszej kultury muzycznej naprawić. Sposobem tym jest przedewszystkiem kulturalizm, jednoczący ludzi w zespoły niezależnie od wieku, wyznania i przekonań. Następnie, a rzecz to niemniej ważna, działalność raczej ośrodkowa a naszych instytucji muzycznych, a więc: wycieczki zespołów operowych i orkiestrowych na prowincję (tylko w dobrym gatunku!) i robota przygotowawcza, ściśle z tem harmonizowana, Polskiego Radja. Przedewszystkiem

jednak zmiana metod wychowania muzycznego młodzieży i raczej mniej zawodowców, często obecnie zawiędzonych i rozgoryczonych, więcej natomiast prawdziwych miłośników. W ten sposób krótki już okres czasu dąłby z pewnością wyższy stopień kultury muzycznej w kraju, większe zainteresowanie operą i koncertem, a co zatem idzie, zwiększony popyt na te dziś przeważnie węgętujące imprezy.

Prof. Wl. Burkath.

KOKIETERJA

Jest — słowa z pieśni nie wyrzucić — wrodzoną kobiecie i zarazem jest jedną z jej cech bardzo wcześniej objawiających się, jako wyraźna chęć podobania się, a specjalnie podniesienia swych naturalnych powabów strojem, uczesaniem, biżuterją.

I nie jest to proste naśladownictwo, gdyż objawia się i tam, gdzie pod tym względem modelu na podorędziu niema.

Niektóre matki widzą w tem nadmierną, a niewczesną kokieterję i po drakońsku traktują sprawę. Rezultat wygnania luster z pokoju dziewczynek i surowego zakazu wszelkich auto-zdobniczych wyczynów zwykle jest ten, że dziewczynki mizdrzą się przed lustrami w innych pokojach, a we własnym przegładają się w odpowiednio ustawionej szkiełce czy szafy. Pęd ku przystrojaniu się wygrywa na napięciu w miarę przymusu zakonspirowania się.

Wyznaję, że, wychowując małe dziewczątka, lub wogóle obcując z siostrzyczkami mych uczniów, nie miałam serca sprzeciwić się ich zakusom, zdążającym do upiększenia swej osóbk.

Jedna z moich dwuletnich „pryjaciółek” przyszła do mnie z nieśmiałą prośbą:

— Masz broszkę, ja widziałam. Daruj mi ją tylko na dzisiaj! Jutro znów będzie twoja... — błagała, nie szczędząc argumentu najczulszych pieśczęt. — Bo ja muszę być piękna. Dziś nasz tatuś przyjeżdża.

Była piękna z broszką, przypiętą na środku piersi (pod brodką nie zgodziła się, bo „nie widać”) i tatuś admirował.

Gdy idzie o nieco już starsze dziewczątka, staram się nie „tępić” instynktu naturalnego i przecieć nie zbrodniczego, tylko nim pokierować odpowiednio. Gdy dziewczynka stroi minki przed lustrem, mówię serjo:

— O, teraz to nie wyglądasz ład-

nie! Ale żebyś siebie mogła widzieć, kiedy wczoraj czytałaś tę nową książkę... mina była nie robiona, tylko naturalna, skupiona, mądra minka czytającej dziewczynki. Albo kiedy tak strasznie cieszyłaś się, gdy mamusia przyjechała.

Kiedy zastaję dziewczynkę, usiłującą przyozdobić swe włosy jaskrawą wstążką, pomagam, owsem, wiązę kokardę, ale robię uwagę:

— Na nic! Nie chce wyglądać ładnie... bo twój kołnierzyk brudny i — uśmiechnęłaś się, a ząbki niewyczyszczone.

Czasem, gdy mała strojnisia przyozdobi się naprawdę szkaradnie, spróbuje malowania itp., poproszę kogoś z otoczenia, żeby, gdy dziecko zobaczy, zrobił uwagę:

— Co to jest, że ona dziś tak jakos nieładnie wygląda?... wczoraj zupełnie jej ładnie było w tej samej sukience... Coś mnie dziś u niej raz... choć sama nie wiem co.

Czasami wystarczy właśnie nie zwrócenie uwagi przez otoczenie na cudaczną fryzurę lub ponsowe paznokcie.

W każdym razie wolę nie tępić tego, co się wytępić nie da i nie wmawiać nieszczerze ładnej dziewczynce, że jest szkaradna. Wolę raczej jej wrodzoną chęć podobania skierować ku sferze wdzięku moralnego i umysłowego także, bo to się może udać i zneutralizować bezmyślną tendencją tylko do zewnętrznego, jednostronnego przystrojania się.

m. b.

Nowy zeszyt „Prasy“

Wyszedł z druku styczniowy zeszyt „Prasy”, organu Polskiego Związku Wydawców Dzienników i Czasopism. Pismo to ukazuje się od lat czterech pod redakcją Stanisława Kauzika.

Zeszyt zawiera artykuły: Feliksa Mrozowskiego — „Bilans pracy zrzeszonych wydawców”. Jana Wiśniewskiego — „Statystyka drobnych ogłoszeń”. Aleksandra Pawłowskiego — „Kongres Międzynarodowej Federacji Prasy Technicznej”. Jana Ostrowskiego — „O własność tytułu czasopisma”, oraz następujące prace w części informacyjnej: Międzynarodowa konferencja prasowa w Madrycie. Udział prasy w Pożycze Narodowej. 40-lecie „Dziennika Kujawskiego”. Pobyt w Polsce O. Hermansa. Jubileusz Holenderskiego Związku Wydawców. Jubileusz Dziennika „De Maasbode”. Amerykański Statut Prasowy. Kongres reklamy w Rzymie i Medjolanie. Prasa i reklama prasowa na wystawie w Olimpij. Zyski i straty prasy włoskiej. Numer uzupełniająca stałe rubryki: życie organizacyjne; Kronika krajowa; Przegląd Ustaw i Rozporządzeń; Kronika zagraniczna; Przegląd Piśmiennictwa.

Cena zeszytu 250 zł. Do nabycia w administracji „Prasy”, Warszawa, Krak. Przedm. 40, w większych księgarniach i w kioskach „Ruchu”.

N A S Z L E K A R Z

O BIOLOGICZNEJ TRAGEDJI KOBIECY

„Straszniejsze od wszystkich rodzajów tragedji, są te, które pochodzą z samej natury człowieka“, pisze prof. A. W. Niemiłow, we wstępie do swej słynnej książki p. t. „Biologiczna tragedia kobiety“. I wyjaśnia dalej: „Przez biologiczną tragedję“ określam taką kolizję, gdy zamierzenia ludzkie napotyka na niezwalczoną przeszkodę w swej własnej naturze, gdy tragizm wypływa z tych praw, które panują w żywej naturze i których władza kończy się wraz z samem życiem“.

Autor, profesor uniwersytetu leningradzkiego i Instytutu Rolnictwa, zastrzega się, że jego książka odnosi się tylko i wyłącznie do biologicznego zagadnienia, że nie ma pretensji i nie może zajmować się społecznymi i ekonomicznymi sprawami, jednakże wnioski, jakie z jego pracy wynikają, rozsadzają niedużą stosunkowo książkę. Książka ta narobiła sporo hałasu w Europie, gdyż już przed kilkoma laty była tłumaczona na niemiecki, dopiero zaś obecnie przełożono ją na polski, notabene, bardzo nieszczęśliwie, jeżeli chodzi o czystość i poprawność języka.

Dziękuję prof. Niemiłowowi za popularyzację zagadnień biologicznych i nie przynosi naukowych rewelacji, lecz daje nowy, ciekawy pogląd, inne, niż dotychczas, ustosunkowanie się do zagadnień, wynikających z ustroju organizmu kobiecego. Zdaniem prof. Niemiłowa, kobieta jest w nieubłagany sposób skuta ze swem przeznaczeniem biologicznym, polegającym na rozmnażaniu gatunku.

Nie może uniknąć w tej, czy innej formie, bolesnych i niebezpiecznych funkcji swego organizmu, nie może uciec od zjawisk, jakie odbywają się w jej organizmie bez jej woli, albo wbrew jej woli. Jest to istotny tragizm, tem straszniejszy, że z chwilą, gdy jego władza się kończy, kończy się właściwie pełne życie, zbliża się śmierć.

Zróżniczkowanie organów i funkcji płciowych kobiety, ich wydoskonalenie w porównaniu ze światem zwierzęcym, tylko komplikuje i w wyższym stopniu uzależnia kobietę, jej całe życie, jej psychikę od biologicznych czynników.

Czy człowiek może się uwolnić od władzy płci? Na to pytanie odpowiada prof. Niemiłow przecząco, dowodząc, że ludzie, pozbawieni płci, tracą równocześnie najcenniejsze wartości fizyczne i umysłowe.

„Wraz z uczuciem seksualnem znikają zupełnie wszystkie wartościowe właściwości ludzkiej duszy i wygasają jej najlepsze dążenia i ideały“. „Poza płcią niema zdrowia — co więcej — niema życia“.

Szanse zmniejszenia władzy płci, a przynajmniej jej dolegliwych objawów, są, jak wywodzi ku końcowi swej książki prof. Niemiłow, jeszcze dość znikome. Jeżeli zaś chodzi o podział tych dolegliwości, to: „ciężar służenia „bóstwu gatunku“ jest wysoce nierównomiernie podzielony między kobietę i mężczyznę. Biologiczny tragizm mężczyzny jest znikomym w porównaniu z biologiczną tragedją, która leży u fizjologicznej podstawy kobiety“.

I jakkolwiek organizm kobiety jest najzupełniej równowartościowy z organizmem mężczyzny (różnią je tylko komórki płciowe, które mogą być przeszczepiane z jednego organizmu na drugi), istnieje biologiczna nierówność płci, nierównomierne, biologiczne obciążenie. „Płeć nałożyła na kobietę bez porównania cięższe biologiczne obowiązki, niż na mężczyznę i na tem właśnie polega tragedia życia kobiecego. Rzadkie chwile radości, związane

u kobiety ze służeniem „bóstwu gatunku“, nie mogą okupić cierpień i mąk, jakimi jest wypełnione życie nawet normalnej kobiety“.

Co do tej „normalności“ ma prof. Niemiłow daleko idące zastrzeżenia. Jego zdaniem, — powołuje się, zresztą, na wielu innych badaczy — przejawy życia płciowego kobiety dojrzałej, ta „fala kobiecości“, która w stałych okresach 28-dniowych przechodzi przez jej organizm, porusza go i nastawia kobietę psychicznie. Utrzymuje ją w ustawicznej niestałości, graniczącej z nienormalnością.

Autor wylicza aż 15 objawów zmian, jakie zachodzą w organizmie zdrowej, normalnie miesiączkującej kobiety. Procesy te odbijają się na równowadze duchowej kobiety w wysokim stopniu. Te fizjologiczne wahania „ograniczają zupełnie wolę normalnej kobiety i w pewnej mierze niszczą pracę jej nerwów“. Niekiedy przybierają wręcz patologiczną formę...

Niemniejszy pesymizm cechuje wywody prof. Niemiłowa przy rozważaniu tych stanów biologicznych kobiety, które związane są bezpośrednio z ciążą, rodzeniem, karmieniem. Poród nazywa autor „katastrofą fizjologiczną“ i przytacza aż nadto słuszne uzasadnienia tej nazwy. Okres ciąży i karmienia jest w jego oczach okresem „altruizmu fizjologicznego“ kobiety, która musi wyrzec się zupełnie osobistego życia, nie tylko fizycznego, lecz w znacznym stopniu i umysłowego, by zadośćuczynić wymaganiom tworzącego się w jej łonie, nowego życia.

Bez ogródek mówi autor o „pasorzytowaniu“ płodu i niemowlęcia na organizmie matki. Macierzyńskie funkcje organizmu oddają kobietę w istną „niewolę biologiczną“, od której ani jej organizm fizyczny, ani jej inteligencja i duchowość uwolnić się nie może wcześniej, zanim nie minie, wyznaczony przez naturę, okres trwania.

W szeregu rozdziałów omawia prof. Niemiłow szczegóły budowy organizmu kobiecego, z punktu widzenia płci, etapy życia kobiety w związku z funkcjami płciowymi, przytaczając ciekawe szczegóły naukowe. Jest to wartościowa, pouczająca lektura, w miarę popularna dla inteligentnego czytelnika.

Autorowi chodzi o czytelników bardzo wyraźnie; wciąż odwołuje się do ich wrażliwości, podkreślając, iż nie tylko kobiety, ale właśnie mężczyźni powinni zaznaczyć się dokładnie z biologją kobiety, by móc zrozumieć objawy i jej przeżycia psychiczne, by mieć współczucie dla jej cierpień, zupełnie im nieznanych, by móc ocenić kobietę sprawiedliwie, bez brutalności i zniecierpliwienia, bez lekceważenia jej w życiu rodzinnem i bez poniżania jej społecznie.

Bardzo interesująco mówi prof. Niemiłow o tem, jak macierzyństwo, stwarzające w życiu kobiety specjalne przeżycia psychiczne, czyni ją jednostronną w stosunku do całego świata, co najczęściej oddala ją od mężczyzny. Bo dziecko dla ojca „nie odgrywa ważniejszej roli, niż inne zmiany otoczenia“, podczas gdy dla kobiety często zmienia cały świat... I „mężczyzna, który o tem nie wie, lub nie zdaje sobie sprawy, przestaje kobietę rozumieć i oboje zaczynają mówić różnym, że tak powiem, językiem“.

Ciekawe są też wnioski autora w sprawie sytuacji społecznej kobiety. Prof. Niemiłow wypowiada się w tym sensie, iż kobieta może być narówni z mężczyzną czynna we wszystkich dziedzinach życia społecznego, lecz warunki zewnętrzne i ustrój społeczny muszą być przystosowane do jej natury, biologicznie różnej. Dotychczasowe ustroje, stworzone wyłącznie przez mężczyzn, odrębności tej nie

uwzględniały. „Dość, by kobieta zaszła w ciążę, wszystkie jej społeczne i naukowe osiągnięcia, często tak wybitne i ciekawe, pójdą namarnie”.

Spółeczeństwo więc powinno wytworzyć takie formy bytu, by kobieta mogła, bez szkody dla siebie, pełnić swe zadania biologiczne, nie zaniedbując swych ogólnoludzkich możliwości i twórczego udziału w życiu społecznym — twierdzi autor; jest to śmiała i zdrowa myśl, którą powinny podjąć w swych programach organizacje kobiece.

Równocześnie należy wyteżyć siły — tu już apel do nauki — by kobiecie ulżyć możliwie w jej funkcjach biologicznych. Autor kładzie nacisk na rozpowszechnienie dobrych środków zapobiegawczych, uzasadniając konieczność regulacji urodzeń, omawia nowe metody osiągania środków dla chwilowej bezpłodności, wreszcie sposoby uśmierzenia bólów porodowych. Wszystko, co możliwe ze strony wiedzy, powinno być zrobione, aby ulżyć kobiecie, poddanej bezwzględnej i okrutnej „tragedji biologicznej”.

Wreszcie interesująco mówi prof. Niemiłow o nowej etyce płciowej mężczyzn i kobiet, podkreślając, iż energia płciowa, która jest siłą radosną i budującą społecznie, powinna być zużyta nie tylko na rozmnażanie się i zbliżenie płci, lecz musi być wyładowana w twórczości artystycznej, wynalazkach, pracy naukowej, działalności społecznej. Powinna istnieć regulacja energii płciowej, a biologja kobiety może być uznana za jeden z regulatorów postępowania płciowego.

W zakończeniu jest umieszczona bardzo ciekawa korespondencja autora z czytelnikami poprzednich wydań jego książki. Wynurzenia kobiet i mężczyzn, jako bezpośrednie świadectwa życiowe, warte są skonfrontowania z tezami autora. Pewne naloży „światopoglądu sowieckiego” potrafi inteligentny czytelnik sam wyeliminować z treści ogólnej, która jest owiana szlachetną ideą nauczania człowieka prawdy przyrodniczej i wzbudzenia w nim współczucia szlachetnego i sprawiedliwego, dla tragizmu życia kobiety.

Jadwiga Krawczyńska.

DUR PLAMISTY

Jak w naszych czasach, tak i w zamierzchłej przeszłości wojna, głód i dur plamisty stanowiły fatalne trójprzymierze. Już w roku 1083 zanotowano epidemję w klasztorze La Cava pod Salerno. Później, ilekroć nawiedziła jakiś kraj dłużej trwająca i wyniszczająca wojna, zawsze powstawała groźna epidemja duru. W XV stuleciu dur plamisty grasował w wielu krajach Europy. Zjawia się on znów na scenie europejskiej podczas wojny siedmioletniej i jest nie mniej groźny od ognia i miecza podczas wojny hiszpańsko-angielskiej w drugiej połowie XVIII wieku. Po wielkich epidemjach paneuropejskich w r. 1815 i 1846 usadawia się ostatecznie w Rosji i tam głównie epidemicznie grasuje. Dopiero wojna światowa wyprowadza go ze stanu „wspaniałego osamotnienia”. Nie uniknął go żaden z krajów, objętych pożogą wojny światowej. Nawet w Niemczech liczba chorych na dur plamisty doszła w r. 1915 do 49 tysięcy.

Na szczęście w naszej epoce, aczkolwiek nie wiadomo jeszcze dokładnie, co tę chorobę wywołuje, ustalono już, jak się ona szerzy. To też Niemcy wdrażają natychmiast energiczną akcję dezynfekcyjną. Nikt na terenie b. zaboru rosyjskiego podczas okupacji niemieckiej ruszyć się poprostu nie mógł bez certyfikatu „entlaust”. Dzięki tej akcji osiągnięto szybko pożądane skutki: według statystyk niemieckich, liczba zachorowań na dur plamisty spada w r. 1916 do cyfry zaledwie kilkuset.

Eksperyment ten, przeprowadzony na tak szeroką skalę, potwierdził dobitnie słusność badań naukowych.

Okazało się więc, że głównym

przenosicielem zakażenia jest wesz odzieżowa (również niebezpieczna może być wesz głowowa i łonowa).

Wesz przenosi zakażenie durowe z chorego na zdrowego tylko poprzez kolejne ukłucie pierwszego i drugiego. Czyli zarazek duru plamistego uzyskuje możliwość rozwoju w nowym organizmie, o ile zostanie przeszczepiony wprost do krwi. Szerzenie się innych, znanych nam dobrze chorób zakaźnych, bo trapiących stale nasz kraj, odbywa się inaczej. Np. dur brzuszny przenosi się z chorego na zdrowego przede wszystkim przez kontakt bezpośredni lub spożycie produktów zanieczyszczonych wydzielinami chorego.

W epidemiologii grypy, gruźlicy i innych chorób, atakujących głównie narząd oddechowy, rolę decydującą odgrywa znów t. zw. zakażenie kropelkowe. Chory podczas kaszlu, kichania, nawet głośnej rozmowy rozpryskuje na odległość do kilku metrów mnóstwo drobniutek, niewidocznych gołym okiem kropelek śluzu, rojących się od zarazków i z łatwością wdychanych przez otoczenie. Tymczasem bezpośrednie zetknięcie się z chorym na dur plamisty, o ile tylko mamy pewność, że jest on gruntownie odwieszony, przedstawia minimalne niebezpieczeństwo.

Czy można jedna liczyć na to, że człowiek, który nie ma co włożyć do ust, będzie surowo przestrzegał zasad czystości? Czy można spodziewać się, że wieśniak, który kupuje zapalki na sztuki, będzie wydawał ostatni grosz swój na mydło? To też dla epidemiologów powstawanie ognisk zakażenia durowego w tem, czy innym skupieniu ludności nie stanowi żadnej niespodzianki. Są to nieuchronne skutki zaniedbania elementarnych postula-

tów higieny. I dlatego najwięcej wypadków duru było w województwach wschodnich i południowych, gdy tymczasem takie miasta, jak Poznań, Bydgoszcz, Katowice nie miały wcale duru. Co się tyczy Warszawy, to powstałe wśród bezdomnej biedoty ogniska zarazy szybko zlikwidowano. Te pierwsze zwiastuny są jednak poważnym ostrzeżeniem, że dur plamisty może szerzyć się. Zwłaszcza wieś polska jest wystawiona na wielkie niebezpieczeństwo: znajduje się ona w fatalnych warunkach mieszkaniowych, nie ma należytej zorganizowanej pomocy lekarskiej, nie ma wszczepionych elementarnych zasad czystości.

Jak już wspomnieliśmy, roznosi zakażenie wesz. Staje się ona zdolną do szerzenia zakażenia dopiero po 4 — 5 dniach od chwili ukąszenia chorego. Krew ludzi chorych, wyssana w pierwszym dniu choroby, jeszcze wszy nie zakaża. Krew ozdrowieńców podurowych już po upływie 5 dni od spadku gorączki materiału zakaźnego nie zawiera. Pod tym względem dur plamisty różni się od duru brzuszego, po którego przebyciu człowiek mimo zupełnego zdrowia lata całe może wydzielać zjadliwe zarazki.

Wesz odzieżowa znajduje najlepsze warunki rozwojowe w zimie, w grubej odzieży zimowej. Dlatego też nasilenie zapadalności na dur plamisty przypada na zimę. Pierwsze objawy choroby występują po okresie wylegania, trwającym około dni 12. Polegają one na dreszczach, wysokiej gorączce, zaczerwienieniu twarzy, przekrwieniu spojówek ocznych. Na 3 — 5 dzień choroby ciało chorego pokrywa się wysypką plamistą.

Ochrona osobista polega przede wszystkim na utrzymaniu we wzo-

rowej czystości ciała, bielizny i ubrania. Wielkiem niebezpieczeństwem grozi zawsze pobyt w mieszkaniu, w którym jest lub był chory na dur, a które nie zostało odkażone. Bowiem w takim mieszkaniu wszy mogą się znajdować na podłodze i różnych sprzętach. Gdy zachodzi podejrzenie kontaktu z chorym lub mieszkaniem podejrzanym, należy natychmiast zmienić bieliznę i ubranie, wymyć starannie całe ciało, bieliznę wrzucić do wrzątku, ubranie kilkakrotnie wyprasować gorącym żelazkiem (zwłaszcza zakładki). Podczas epidemji należy zaniechać kupowania używanych mebli i ubrań.

Co się tyczy sprawy szczepień ochronnych, nie posiadamy dotychczas szczepionki, nadającej się do masowego stosowania. Polska rozporządza szczepionką, sporządzoną według metody d-ra Weigla, profesora uniwersytetu w J. K.. Wielkie trudności techniczne pozwalają pracowni lwowskiej przygotować w ciągu roku nie więcej, niż kilka tysięcy porcji szczepiennych.

Medycyna nie posiada dotych-

MYDŁO

HIGJENICZNO-KOSMETYCZNE

DLA KAŻDEJ CERY

FR. PULS S.A. WARSZAWA

czas specyficznego środka leczniczego, któryby mógł z miejsca przerwać chorobę tak, jak to czyni np. jedna iniekcja salwarsanu

w przebiegu duru powrotnego. Jak dotąd, leczenie duru plamistego ogranicza się przede wszystkim do podtrzymania sił chorego.

Dr. J. Trzebiński.

HIGJENA UCHA

Znacznie łatwiej znaleźć ładną rękę lub też oczy, aniżeli stopę lub ucho. Co do ucha, to zaledwie 1% można nazwać ładnym. 10% jest możliwych, 10% zarzucić można wadliwe ustawienie, reszta zaś, czyli aż 79% jest brzydkich lub nawet bardzo brzydkich.

Przyczyna tego leży nietylko w wadzie wrodzonej, ile w warunkach, w jakich odbywa się ukształtowanie ucha i stopy. Tak np. zniekształcenie stopy dokonywa się bucikiem, a do jakiego zdeformowania można dojść, świadczyć może stopa Chinki dawnego pokolenia.

To samo jest i z uchem.

Delikatna budowa ucha wymaga specjalnie starannego obchodzenia się z niem już od lat najmłodszych, a właściwie od pierwszych dni naszego życia.

Dziecko w pierwszych miesiącach po przyjściu na świat zniekształca uszy, ruszając w poduszce główką, a tym sposobem zawija małżowinę uszną, śpi często na zgiętym uchu. Później zaś, gdy kładzie mu się czapkę, czy też kapelusik, nasuwa się je zwykle tak głęboko na głowę, że dotykają one uszu, a tym sposobem zniekształcają chrząstke.

Również ciągnięcie lub targanie nadwierzcha ucho i najwięcej je zniekształca.

Oczywiście często dzieci już rodzą się z odstającymi uszami, nierównymi co do wielkości, a także z nieładnym wygięciem.

W tych to wypadkach zapomocą wczesnych zabiegów można wywrzeć duży wpływ na poprawę.



Ładne ucho, proporcjonalne do rozmiarów głowy.

Często jednak pomoc udaje się uzyskać tylko przez zabieg operacyjny.

Ładne ucho powinno być krótkie, okrągłe, nieco spleśzczone, jednym słowem zgrabne; następnie nie powinno odstawać lub zbyt przylegać do głowy.

Co do koloru, to nie powinno być zbyt czerwone ani blade. Lekkie zaróżowienie i matowość skóry oto ideał ładnego ucha. Małżowina uszna i jej brzegi powinny mieć ładny, zgrabny wykrój. Miękka część ucha powinna być krótka, zaokrąglona i nieco przylegać do policzka.

W wypadkach, gdy u dziecka zauważymy zbyt przyleganie małżowiny usznej do głowy, należy starać się, by między uchem, a czaszką była jak największa ilość włosów, co przy dłuższych włosach łatwo daje się uskuteczyć. Przy krótkich zaś należy umieszczać opaskę z tamponikiem waty. Przy odstających zaś w wielu wypadkach dobre rezultaty otrzymuje się, przylepiając ucho do głowy lepkiem plastrem. Oczywiście zabiegi takie należy zacząć od dzieciństwa i kontynuować całymi latami.

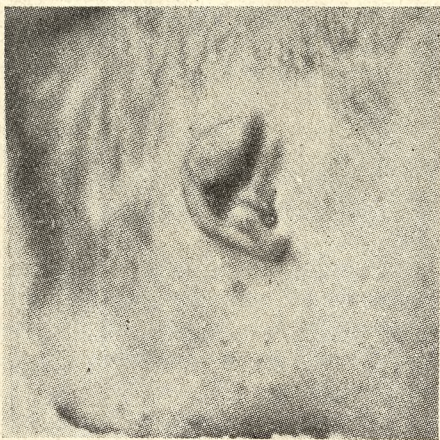
Wszelkiego rodzaju dłubanie

w uchu twardymi przyrządami powinno być bezwarunkowo zakazane, jako bardzo szkodliwe, a nawet niebezpieczne.

Również należy unikać wycierania zewnętrznego ucha twardym ręcznikiem; gąbki zaś należy zarzucić zupełnie, jako niehigieniczne i wprowadzające wodę do głębi ucha, co jest szkodliwe.

Ażeby nadać małżowinie usznej jędrność, dobrze jest przecierać ją, jednakże b. lekko, tamponikiem waty, zmoczonym w wodzie kolońskiej.

W wielu wypadkach niepokoi nas i denerwuje szum w uszach, lub też chwilowe osłabienie siły słuchu. Oczywiście objawy te mogą być spowodowane zarówno cierpieniem zarówno ogólnym, jak i miejscowym samego ucha. Dlatego też, gdy podejrzewamy coś poważniejszego, należy niezwłocznie udać się do lekarza specjalisty. W wypadkach zaś, gdy według naszego przypuszczenia, niema podłoża cierpienia ucha wewnętrznego, anemji i t. p., natomiast spowodowane jest ono skupieniem siary usznej, wówczas



Zdegenerowana koncha uszna.

wpuszczenie rano po kropli ciepłego olejku z migdałów słodkich rozpuści siarę i ulga będzie niezawodna.

Co się tyczy przekłuwania uszu, to jakkolwiek jest to drobny zabieg chirurgiczny, jednakże wymaga zachowania pewnych warunków aseptyki. Miękka część ucha powinna być dokładnie wymyta wodą z mydłem, następnie przetrarta eterem i zajodynowana.

Do przekłuwania istnieją specjalne przyrządy, w braku zaś ich można



Ucho z kolczykiem mydłuza się wskutek obciążenia.

Otyli żyją krócej...

Ich serca, obłożone wataą tłuszczu, pracują z wysiłkiem, wyczerpują się i odmawiają posłuszeństwa wcześniej.

Otyłość spowodowana jest złą przemianą materji, oraz zaburzeniem czynności gruczołów dokrewnych.

Tylko zioła Magistra Wolskiego „Degrosa” zawierają jod organiczny w postaci rośliny morskiej Yahanga, który wprowadzony do organizmu, pobudza gruczoł tarczowy do należytej pracy, powodując szybkie spalanie nadmiernego tłuszczu. Są one skutecznym środkiem przeciwko otyłości i nie wymagają specjalnej diety.

Zioła „Degrosa”

Do nabycia w aptekach, drogerjach, składach aptecznych lub w wytwórni: Magister Wolski, Warszawa, Złota 14. Objasniające broszury wysyłamy bezpłatnie.

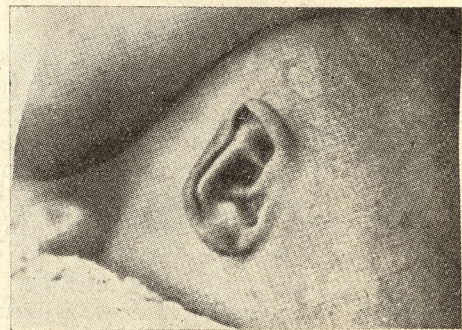
użyć igły, dokładnie przepalanej na płomieniu gazowym lub spirytusowym, by nie przenieść zakażenia. Znane są wypadki przeniesienia tym sposobem gruźlicy, syfilisu i wielu innych chorób. Przed przekłuciem należy znieczulić zamrożeniem.

W przekłutym otworze pozostawia się wyjałowioną nitkę jedwabną, jeszcze lepiej srebrną, którą po kilku dniach zastępuje się wyjałowionym kolczykiem. Przekłucia powinny być zrobione symetrycznie.

Według wyglądu uszu można nieraz postawić diagnozę cierpienia wewnętrznego. Tak np. zanik w mniejszym lub większym stopniu miękkiej części ucha wskazywać może na gruźlicze predyspozycje. Zanik zwojów małżowiny usznej według Morela może wskazywać na predyspozycję do chorób umysłowych.

Właściwość ruszania uchem bez udziału mięśni twarzy jest wskaźnikiem degeneracji. Tutaj wspomnę, że właściwością tą była obdarzona Marja Ludwika, żona Napoleona. O innych wadach i brakach zewnętrznej części ucha, jak np. nadmiernej czerwoności, odziębieniu i t. p. pomówimy w innej pogadance.

Dr Med. Zofja Rostkowska.



Wadlinie zbudowana koncha uszna.



Konkurs na najpiękniejsze ucho.

ODPOWIEDZI

Działu Lekarskiego.

Pani J. W. z Lublina zapytuje, czy umiarkowany ruch, lekkie ćwiczenia gimnastyczne i t. p. są wskazane dla chorych sercowych? Oczywiście, chorego, dotkniętego ciężką niedomogą, należy możliwie oszczędzać, nawet przez czas dłuższy trzymać w łóżku. Trzeba jednak pamiętać, że mięsień sercowy zachowuje się podobnie, jak inne mięśnie naszego ciała. Jeżeli ma za mało pracy, to leniwieje, słabnie. Umiarkowany, indywidualnie dostosowany ruch jest czynnikiem wzmacniającym serce.

Zdrowe zęby - oto chodzi
Brak CHLORAMI im zaszkodzi!

CHLORAMI

BIŁA PASTA DO ZĘBÓW
HENRYK ŻAK · POZNAŃ

Z TEATRÓW

„KUPIEC WENECKI“ SZEKSPIRA
W TEATRZE POLSKIM.

„Kupiec wenecki“ stoi na pograniczu między temi dramatami Szekspira, które, jak „Hamlet“, „Otello“, czy Makbet“, całkowicie pochłonięte są przez zmagania się duszy ludzkiej, a temi genialnymi igraszkami fantazji, jak „Burza“, „Sen nocy letniej“, „Wieczór Trzech Króli“, gdzie logika bajki zastępuje psychologiczny determinizm, a kaprys poety starczy za uzasadnienie irracjonalnego rozwoju akcji.

Dotychczasowi inscenizatorzy widzieli w „Kupcu weneckim“ przedewszystkiem tragedję Shylocka, jego namiętność wysuwała się na pierwszy plan. W cieniu tej olbrzymiej postaci ginęła historia trzech szkatulek i idylla miłosna zakochanych par. „Kupiec wenecki“ wprowadzał nas w ponure zaułki duchowego ghetta, otwierał przed nami otchłań wiekowych krzywd, uraz, nienawiści rasowej. I pozwalał nam zejść na dno tego wiecznie wrzącego wulkanu zemsty, jakim jest dusza Shylocka.

Ryszard Ordyński poszedł po linii wręcz przeciwnej. Na pierwszy plan wysunął anegdotę, bajkę, feerję, załoty i zapusty, adwokacki popis Porcji, końcowy figiel z pierścionkami. Tragedję człowieka utopił w karnawale weneckim. Psychikę usunął niejako na margines tej barwnej rewji, która chwilami oprócz tekstu, nie miała nic wspólnego z Szekspirem.

Ale na nic nie zdało się to plawienie. Shylock wypłynął. Nietyle dzięki grze Junoszy-Stepowskiego, tym razem jakby zbyt oszczędnej, niepełnej, niewyczerpującej do dna przepychu możliwości, tkwiących w tej postaci, ale dzięki sobie samemu. Shylock to olbrzym namiętności, któremu do kolan nawet nie dorastają pozostali uczestnicy weneckiej, tragicznej zabawy. Ich troski i zabiegi wyglądają jak igraszki dzieci u stóp Molocha. Wewnętrzne załamanie się Shylocka ma w sobie groźbę i potęgę żywiołowych kataklizmów. Góra nienawiści zwała się na górę chciwości. Już nie złoto jest ważne, ale to, co za nie kupić można: nasycenie zemsty.

Shylock, nawet powalony, jest większy od swych zwycięzców. Ta gromada płochych, płytkich, bezmyślnych i bezdusznych dzieci rychło rozwiła się w pył, jak stado jednodniowych motyli, gi-

nących bezpowrotnie po ukończeniu miłosnego lotu. Shylock pozostał, budząc w nas groźbę i... współczucie. Tak, współczucie.

W splotcie sprzeczności uczuciowych i sytuacyjnych, jakimi Szekspir omotał Shylocka, trudno się zorientować, czy chodziło mu o zozydzenie, czy gloryfikację tego żydowskiego lichwiarza. Niewątpliwie Shylock jest zły, podstępny i okrutny i zasługuje na to, aby go pobić jego własną bronią. Ale jakież to walory moralne przeciwstawia mu Szekspir po stronie chrześcijan? Tylko Bassanio, jak ten biblijny jeden sprawiedliwy w Sodomie, zacny kupiec, co pożyczka bez lichwy, jedynie z miłości bliźniego i gotów jest dla poratowania przyjaciela w potrzebie podpisać ryzykowny obług. Ale niestety, ten Bassanio w każdym swym powiedzeniu jest zanadto doskonały, aby był przekonywujący. A zresztą w usta Shylocka Szekspir włożył najsilniejszy zarzut potępienia tych wszystkich wzorowych kupców, którzy bez skrupułu handlują ludźmi i niewolników swych traktują, jak zwierzęta...

A Antonio? Ten lekkomyślny młokos i utracjusz, który za pieniądze, pożyczone przez Bassania na krwawy obług, chce ołśnić darami wybranek swego serca? A Jessyka — neofitka, która z tak lekkim sercem okrada swego ojca, trwoni skarby na orgje ze swym ukochanym i nawet przez chwilę nie zatroszczy się o sponiewieranego starca. Prawdziwa „córka pu-



Janina Bąkomska, jako Arissa i Janina Romanówna jako Porcja.

„MIAFLOR“ krem i puder znany
W firmie polskiej wyrabiany?
Kto więc kupi - ten nie traci.
Sam zyskuje - kraj bogaci!

KREM PUDER MIAFLOR
UTRZYMUJE DELIKATNĄ I PIĘKNĄ CERĘ
HENRYK ŻAK · POZNAŃ

szczy“, (co ojciec zarobił, to syn „puści“), antenatka i patronka mechesów, wstydzających się swego pochodzenia.

Ale koroną wszystkiego jest wyrok na Shylocka. Obok materialnych zadośćuczynień, Shylock zostaje — i to pod groźbą śmierci, skazany na chrzest. Pomijając fakt, że niewielką pociechę mieć będzie społeczeństwo chrześcijańskie z takiej owieczki, zakwestjonować można właśnie z chrześcijańskiego punktu widzenia naprzód sam przymus przyjęcia chrztu, a potem traktowanie chrztu, jako kary i to kary najdotkliwszej, niemal że wymyślnej tortury moralnej. To są wszystko rzeczy, na które wzdryga się nasze poczucie etyki ludzkiej i poszanowanie własnej religji.

Gdyby Szekspir żył w czasach Shaw'a, moglibyśmy sądzić, że chciał zdyskredytować antysemityzm. Ale ponieważ Szekspir żył w epoce Elżbiety, na której dworze rozegrała się podobno analogiczna historia z żydem lekarzem, mamy prawo przypuszczać, że i on był barbarzyńcą w dobrej wierze. I nie on to, ale późniejszy inscenizator kazał Shylockowi rozpaczać po ucieczce córki (powrót do pustego domu i krzyki: „Jessyka! Jessyka!), nie po utracie złota, wbrew temu, co sam Shylock mówi w następnym akcie: „wolałbym ją widzieć w trumnie, ale z memi dukatami“.

Wśród wykonawców szczyt tragizmu osiągnął Junosza-Stepowski, szczyt groteski — Grabowski i jako księżę Aragonu. Między temi dwoma biegunami oscylowały wysiłki pozostałych wykonawców. Romanówna była tkliwą i figlarną Porcją, Borowska mało wyrazistą Jessyką, Brydziński anemicznym Bassaniem, Socha w roli marokańskiego władcy miotał się jak Herod w szopce. Zresztą ta cała scena z wybieraniem szkatulek, potraktowana w tonie skeczowym, budziła przykre i niesmaczne wrażenie. Zato nawskroś szekspirowską parę tworzył Lancelot i jego ojciec. W interpretacji Karpińskiego i Fritsche.

Tekst z nielicznymi wyjątkami był wygadywany, nie wyglaszany, bez najmniejszego poszanowania dla rytmu i muzyki wiersza. Dekoracje trochę tekturowe mało dawały pojęcia o wspaniałości Wenecji.

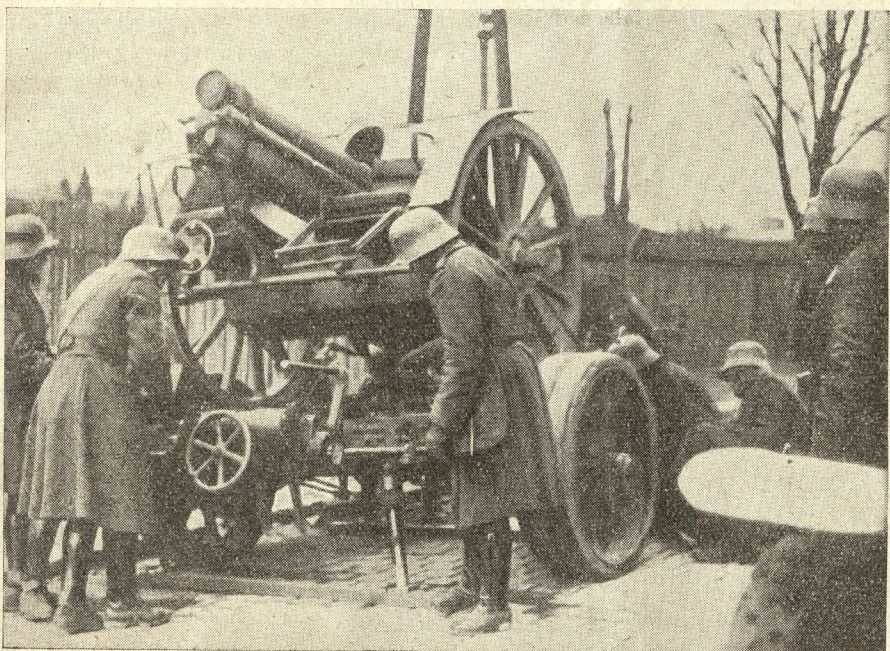
S. P. O.



Wiedeński ratusz obsadzony przez wojska podczas niedawnych krwawych zaburzeń.



Tramwaj, popychany przez publiczność wiedeńską podczas ostatnich rozruchów.



Działo wycelowane na Karl-Marx-Haus.

Z UBIEGŁEGO TYGODNIA

Krwawe wypadki wiedeńskie. — Faszizm Dolfussa i postawa socjalistów. — Klęska socjalizmu przedwojennego. — Deklaracja trzech państw. — Wizyta min. Becka w Moskwie zapowiada współpracę na rzecz ogólnego pokoju. — Śmierć króla belgijskiego. — Wizja roku 1914.

Wojna wiedeńska między socjalistami a rządem wywołała zdumienie tych wszystkich, którzy o ciężkiej sytuacji Austrii wiedzieli jedynie tyle, że Dolfuss, kanclerz austriacki, broni się przed zachłannością Hitlera. Ale właśnie ta ciężka sytuacja Austrii sprawiła, że polityka Dolfussa nie zawahała się przed niczem. Agresywność Hitlera, ujawniająca się w zamachach, czy tylko w nieprzebiegającej środkach propagandzie, była dla Austrii tem groźniejsza, że Italia udzielała moralnego poparcia Niemcom. To też Dolfuss, zrazu podtrzymywany przez socjalistów austriackich, poszukiwał innych sposobów ratunku.

Jakież to były powody? Gdy zawiodły wszelkie odwoływania się do mocarstw, Dolfuss bez długiego namysłu oparł się o Mussolini'ego. W październiku ubiegłego roku dokonał zmiany ustroju Austrii w kierunku faszystowskim i zyskał tem samem niejaki poparcie dyktatora Włoch. Sprawa wydawała się o tyle jasna, że przecież Włochy nie mogły sobie życzyć bezpośredniego sąsiedztwa z potężnymi Niemcami! Wygodniej jest mieć słabego austriackiego sąsiada, niż skonsolidowane Niemcy.

Jednakże faszyzm Dolfussa nie mógł być po myśli socjalistom, szczególnie silnych w „czerwonym” Wiedniu i doskonale zorganizowanych, rozporządzających nadto siłą zbrojną Schutzbundu. Socjaliści byli zresztą skłonni do pewnych ustępstw i pragnęli jedynie ratować pozory parlamentaryzmu. Dolfuss natomiast nie mógł już iść na drogę kompromisów, tem bardziej, że zarówno wicekanclerz Fey, jak i dowódca Heimwehry, Starenberg parli do kategoriycznych rozstrzygnięć.

Socjaliści ogłosili więc strajk generalny i zajęli postawę bojową. W większych ośrodkach Austrii rozgorzała walka, a w samym Wiedniu wojna domowa stała się aktem rozpaczliwego socjalizmu austriackiego. Domy robotnicze, robotnicza dzielnica Florisdorf legły w gruzach. Tysiące rannych i setki zabitych są dowodem tej zaciekleści, która nie miała już nic do stracenia. Kilkudniowe walki wiedeńskie są jednak czemś więcej, niż lokalną rozprawą o formy rządów w Austrii, bo klęska austriackiego socjalizmu jest klęską socjalizmu wogóle. Trzeba tu bowiem powiedzieć, że w Austrii skupiała się siła socjalizmu i tam właśnie przebywali lea-

derzy, najtęższe umysły, największe powagi socjalizmu, w jego przedwojennych formach.

Był taki moment w tych krwawych dniach rozprawiania się z socjalistami, że kanclerz Dolfuss mógł, mimo zwycięstwa, widzieć nietylko swój upadek, ale i koniec niepodległości Austrii. Jeżeli bowiem Niemcy pozornie zachowali się spokojnie, a skonsygnowanie wojsk włoskich na granicy Austrii było jedynie manifestacją — to oburzenie Anglii mogło mieć skutki dla Dolfussa oplakane. Szło wszakże o to, żeby mocarstwa wypowiedziały się wreszcie za sprawą niepodległości Austrii, żeby dały to swoje zapewnienie, broniące Austrię przed zaborem niemieckim. Włochy i Francja były od razu gotowe do tego kroku, ale Anglja, gdzie kierownikiem rządu jest były socjalista Mac-Donald, poczuła na moment solidarność z bohaterem socjalizmem austriackim.

Ostatecznie dla dobra sprawy, względnie dla ratunku pokoju europejskiego wszystkie trzy mocarstwa ogłosiły wspólnie deklarację za utrzymaniem niepodległości Austrii. Mimo to, sytuacja Dolfussa jest teraz ogromnie trudna. Ma bowiem dziś kanclerz Austrii przeciw sobie nietylko hitlerowców austriackich, ale i socjalistów i kto wie, czy w pragnieniu zemsty te dwa stronnictwa nie połączą się z sobą.

Sprawa Austrii nie jest więc jeszcze rozstrzygnięta, a włoskie pomysły o wskrzeszeniu unji austriacko-węgierskiej nie zapobiegną gotującym się zmianom, mogą je co najwyżej na jakiś czas powstrzymać.

Kiedy w Austrii działy się te krwawe porachunki, polska polityka zagraniczna zamantestowała się w dalszym ciągu swoją wolą pokoju. Wizyta naszego ministra spraw zagranicznych, p. Becka, w Moskwie ujawniła bowiem te szczere tendencje obu państw sąsiednich w sposób wymowny. Wspólny komunikat polsko-sowiecki, wydany po pobycie ministra Becka w Moskwie, nietylko podkreśla zacieśnienie stosunków obu państw, ale zapowiada współpracę w sprawie zachowania i umocnienia ogólnego pokoju.

Rzec można, w ślad za tem, Hitler, niezadowolony z odpowiedzi francuskiej, określił stosunek Niemiec do Polski jako „pokój nazawsze”. W istocie bowiem w tej chwili, gdy rząd Doumergue'a przyczynił się do uspokojenia umysłów we Francji, oczekiwać należy bardzo wyraźnej postawy Francji wobec zagadnienia zbrojeń niemieckich. Tragiczna śmierć króla belgijskiego, Alberta, niewątpliwie przypomniła Francji te groźne dni 1914-o roku, kiedy to armje niemieckie w marszu na Francję sforsowały neutralną Belgję. Bohaterski król Belgów stawiał wówczas czoło tej armji, więc wspomnienia pośmiertne będą dla Francji jednocześnie wspomnieniem tamtych dni i wskrzeszą wizję tamtej grozy.

H. N.

Ś. P. DR. ZOFJA DASZYŃSKA-GOLIŃSKA



D. 11 lutego zmarła nagle na aneuryzm serca Zofja Daszyńska-Golińska, doktor filozofji, profesor Wolnej Wszechnicy, autorka licznych prac z dziedziny zagadnień ekonomicznych i populacyjnych, odznaczona za swe zasługi krzyżem „Polonia Restituta”. W najbliższym numerze zamieścimy dłuższy artykuł o życiu i pracach Zofji Daszyńskiej-Golińskiej, z której śmiercią ponosi dotkliwą stratę nauka i społeczeństwo polskie.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

KOBIETY W SĄDOWNICTWIE NA LITWIE.

Pani Magdalena Brazajtys, sędzia w Mariampolu, jest pierwszą kobietą-sędzią na Litwie. Od 1926 r. p. Brazajtys pracowała przy Trybunale Sprawiedliwości w Mariampolu. W 1929 r. została sędzią-asesorem, by w 1934 r. otrzymać oficjalną nominację na sędzię.

Pani Helena Jackevicajtys już od 1931 pracuje jako sędzia, przy jednym z trybunałów prowincjonalnych.

Pierwszą kobietą na Litwie, zatrudnioną w sądownictwie, była p. Linda Vienozinskajtys-Purenienė, która otrzymała dyplom magistra praw na uniwersytecie w Piotrogradzie. Po kilku latach zawodowej pracy p. Linda powróciła na Litwę, gdzie w 1918 r. zamieszkała, jako notariusz, w prowincjonalnym miasteczku Kakiszki. Wywołało to ogólną sensację, była bowiem pierwszą kobietą-notariuszem w swoim kraju.

W 1927 r. powołana do służby państwowej, zainteresowała się gorąco polityką i trzykrotnie została wybrana do Sejmu przez stronnictwo socjalistyczne.

Liczba kobiet litewskich, studujących prawo, która w 1930 r. wynosiła 150, stale wzrasta, a urzędy i biura spełniają się tłumem młodych aplikantek.



ASPIRIN

Do nabycia we wszystkich aptekach.

PIERWSZE DZIENNIKARKI I PIERWSZE CZASOPISMA KOBIECE WE WŁOSZACH.

W drugiej połowie XVIII wieku pojawiają się we Włoszech pierwsze czasopisma kobiece. Ale już znacznie wcześniej spotykamy wśród grona współpracowników rzymskiego pisma „Diario” nazwisko Katarzyny Chracas, córki właściciela drukarni. Zdolna dziennikarka redagowała przez 40 lat pismo „Diario Ordinario d'Ungheria”, założone dzięki pomocy jej ojca w roku 1716.

Dziennik ten, wydawany w Rzymie i w Wiedniu, stał się w XIX w. organem kurji papieskiej i pod zmienionym tytułem przetrwał do roku 1870.

Nieomal równocześnie w Wenecji Elżbieta Caminer wybija się w dziennikarstwie, wywierając także przemożny wpływ na polu literackim.

Ojciec jej był redaktorem pisma „Nuova Gazzetta Veneta” i dopomógł Elżbiecie w założeniu gazety krytyczno-literackiej p. t. „Europa Letteraria”.

Obdarzona silną indywidualnością Caminer poddaje krytycznej ocenie pojawiające się twory literackie, informuje czytelników o całokształcie europejskich ruchów i zagadnień umysłowych. Przewyższa trafnością spostrzeżeń, śmiałością sądów i głębią wiedzy ojca, a dzięki swej niezwykłej inteligencji rzuca wytyczne ruchu intelektualnego Italji.

Pomimo tak wybitnego znaczenia, które zdobyły sobie kobiece pracowniczki w dziennikarstwie, mężczyźni byli redaktorami pierwszych czasopism kobiecych.

W roku 1700 ukazuje się we Florencji „Toilette”. Wychodzi w formie bardzo wykwintnych tomików, zajmuje się przeważnie zagadnieniami mody, a dla rozrywki czytelniczek przynosi nowe, zajmujące twory beletrystyczne.

Niedługo potem dziennikarz Rainer del Vico zakłada pismo kobiece p. t. „Giornale delle Dame”, perjodyk literacki, utrzymany na poziomie ogółu pism tego pokroju, omawiający też zagadnienia mody i dobrego smaku.

W Wenecji pojawia się na bardzo krótko wydawnictwo konkurencyjne p. t. „Foglio per le dame”.

Świeżo opracowany we Włoszech zarys dziejów dziennikarstwa wykazuje już w czasopiśmiennictwie XVIII i XIX w. znaczne wpływy kobiet, które już to jako tłumaczki, lub jako samodzielne literatki, a przede wszystkim jako czytelniczki, kształtują smak publiczności oraz gruntują wpływy francuskie, panujące aż do 1815 r. w całej Italji.

WIELKI BAL W BUDAPESZCIE.

Największym wydarzeniem towarzyskim w Budapeszcie był w tym roku wielki bal, urządony pierwszy raz po przerwie dwudziestoletniej w budapeszteńskiej, królewskiej operze. Wielka widownia została w ciągu jednej nocy pokryta prowizoryczną podłogą, zbudowaną ponad krzesłami na wysokości sceny tak, że scena i widownia tworzyły jedną olbrzymią salę balową. Po 20 latach, Bal Opery zgromadził całą arystokrację węgierską, tworząc widowisko, dorównujące swoją wspaniałością najświetniejszym tradycjom przedwojennym. Największą atrakcją filmu był piękny orszak postaci z najbardziej znanych oper, przedstawionych przez panie z towarzystwa.

Na fotografiach widzimy Lożę Królewską, wspaniale oświetloną, oraz p. de Schontheelte, żonę ministra belgijskiego w Budapeszcie, jako córkę króla francuskiego.



Z INNEGO WIEKU.

Pani Pierpont Morgan Hamilton w sukni, którą miała na sobie p. David D. Gardiner na balu, wydanym przez księcia Walji w 1860 r. Suknia ta znajduje się obecnie na wystawie w „Muzeum miasta New York” w Nowym Jorku, wypożyczona przez prawnuczkę Miss Sarah D. Gardiner.



KOBIETA POWIEŚCIOPISARKA — KAWALEREM LEGJI HONOROWEJ.

Pani Myriam Harry została udekorowana Krzyżem Legji Honorowej.

Wiadomość ta została gorąco przyjęta przede wszystkim przez przyjaciół i miłośników literatury kobiecej.

Pani Myriam jest bowiem autorką licznych powieści, jak np. „Boska pieśń”, „Wyspa rozkoszy”, „Dziewczę z Jeruzalem”, „Mały książę Syrii” i wiele innych.

Na szczególną uwagę zasługuje jej działalność, propagująca ścisły związek pomiędzy Syrią a Francją.

URODZINOWY PLAKAT PREZ. ROOSEVELT'A.

Mrs. James Roosevelt, matka Prezydenta St. Zj., otrzymała od Howard Chandler Christy oryginał plakatu, przeznaczonego na dzień urodzin Prezydenta, a propagujący ofiarę na rzecz fundacji w Warm Spring, w miejscowości tej ma wzniesić się sanatorium dla dzieci paralitycznych.

KOBIETY DYPLMATKI.

Ministerstwo Spraw Zagranicznych w Anglii wyznaczyło Komisję z Claud Schuster'em, jako przewodniczącą, która ma definitywnie rozpatrzyć i rozstrzygnąć sprawę dopuszczenia kobiet do służby dyplomatycznej. Tak więc angielskie dyplomatki — to kwestja niedalekiej przyszłości.

Przy okazji należy wspomnieć, że już kilka krajów posiada, jako swych przedstawicieli zagranicznych — kobiety. Wśród państw tych znajduje się Bułgaria, Ameryka, która mianowała p. Ruth Bryau Owen ministrem pełnomocnym w Kopenhadze, oraz Sowiety, posiadające swego ministra w osobie p. Wołontey w Szwecji.

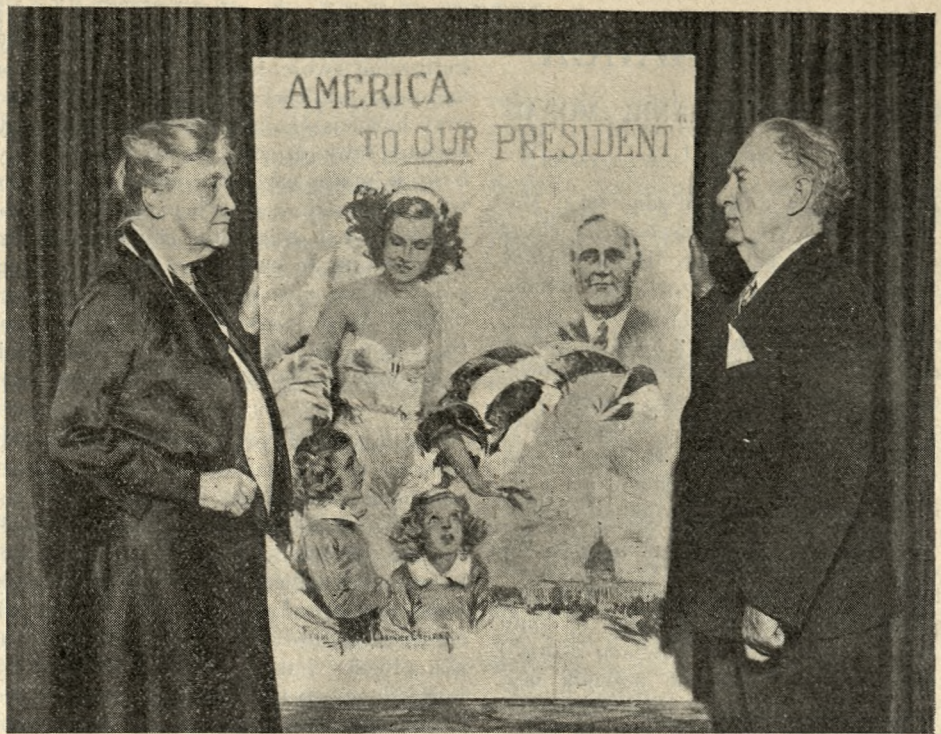
UCZCZENIE PAMIĘCI WŁADYSŁAWOWEJ ZAMOYSKIEJ.

Dziennik brukselski „La libre Belgique“ zamieszcza w jednym ze swych ostatnich numerów (z dn. 29.I.34) dłuższy artykuł, poświęcony pamięci zmarłej w r. 1925 wielkiej polskiej działaczki społecznej, generałowej Władysławowej hr. Zamoyskiej.

Autor artykułu, świetny pisarz Georges Goyau z Akademii Francuskiej, w słowach pełnych uznania i podziwu opowiada o działalności naszej znakomitej rodaczki, podkreślając doniosłość jej pracy w ważnej sprawie wychowania kobiet na prawdziwe chrześcijanki i dobre gospodynie.

PULK. MARY ALLEN W BERLINIE.

Pulk. Mary Allen, szef kobiecej policji W. Brytanji przybyła z wizytą do Berlina, gdzie ma spotkać się z Hitlerem.



„M-LLE PARIS“ — „COW-GRIL“.

Tegoroczna Miss Paryż ćwiczy się w ogrodach Trocadero w rzucaniu lassem pod kierownictwem znanego malarza Paul Coze.

TRZY KOBIETY NORWESKIE DOSTAWCAMI OKRĘTÓW.

Panna Brummenoes i panna Torgersen stoją na czele Towarzystwa Żeglugi w Hangeswed, prosperującego doskonale pomimo kryzysu. Dzielne kierowniczkę rozporządzają siedmioma statkami o pojemności łącznie 23.550 tonn.

Pani Seen Lovik, która jest dostawcą okrętowym w Aalesund, posiada kilka statków rybackich.

NASZA MÓWNICA

JESZCZE O „DOŻYWIANIU MORALNEM“.

Zgadnam się w części ze zdaniem p. Marji B. (Mównica Nr. 2 Bluszczu), że chcąc dziecko dożyć moralnie, trzeba dłuższy czas obserwować, aby poznać jego duchowy głód. Przez częste obcowanie z dzieckiem, przez przeżywanie z niem poniekąd trosk, poznaje się jego potrzeby i odpowiednio można na nie reagować. Śmiem więc mocno wątpić, aby poradnia w danym wypadku odniosła pożądany skutek. Wszak zbyt trudne będzie ciągle obcowanie z jednostką moralnie niedokarmioną, trudne będzie stałe podpatrywanie jej życia domowego, szkolnego i t. p., a bez tego cel nie zostanie w zupełności osiągnięty. W danym więc wypadku uważam, że tylko w domu rodzinnym dziecko mieć powinno ostoję i pociechę. Rodzice wspólnie powinni myśleć nad sposobem zaspokojenia obok potrzeb fizycznych, potrzeb moralnych dziecka. Muszą wiedzieć, iż z chwilą, gdy zostali obdarzeni pociechami, winni zdać egzamin przed całym społeczeństwem z dobrogo ich wychowania. Dziecko to wielkie słowo, dziecko to nie zabawka, którą można rzucić w kąt, gdy się znudzi, wszak to przyszedł człowiek. Jakie więc w domu odbierze wychowanie, jakie w domu zostaną węń od dzieciństwa wpojone zasady, takie zostaną do końca życia. Czy w złej czy w dobrej doli wspomina się dom rodzinny, wiek dziecięcy, przestrogi rodziców i często wspomnienia te podtrzymują nas od czynów złych, bo przed oczyma stanie oblicze matki i ojca. Bordeaux w jednej ze swych powieści mówi, że „przeznaczeniem dziecka jest jego dom rodzinny, jego dusza składa się przeważnie z odebranych tam wrażeń. Spojrzenie oczu matki jest częścią naszej duszy, która wnika w nas przez nasze oczy“. Tyle co do poradni.

Idąc dalej po linii artykułu p. Marji B., mam pewne zastrzeżenia. Twierdzi Pani, iż tylko powrót matek do domu zapobiegnie chorobom moralnym dzieci. Ze zdaniem tem, niestety, zgodzić się nie mogę, wszak matka, pracująca w zupełności zaspokoi potrzeby swych dzieci, mając właśnie na to i środki materialne, no i czas jej powrotu z zajęcia do domu zlewa się z czasem powrotu działwy ze szkoły, czy przedszkola. W danym wypadku miała Pani na myśli kobiety, pracujące wspólnie z mężami na utrzymanie domu. Specjalnie nie popieram pracy mężatek i często jest krzyżącą niesprawiedliwością zatrudnianie pań, których mężowie zarabiają bająńskie sumy, a które nie mając obowiązków rodzinnych, trwonią bezmyślnie zarobione pieniądze, podczas, gdy z tej posady korzystałby mogła jednostka, dająca utrzymanie rodzinie, lub osoba samotna, korzystająca z pomocy rodziny niezamożnej, albo zgoła cierpiąca niedostatek.

Za konieczną jednak uważam pracę mężatki, której mąż zarabia skromnie, lub jest na emeryturze. A rodzin takich jest przecież multum i tylko wspólnie zarobione „grosze“ zdołają podtrzymać rodzinne

gniazdo, pozwalając zaspokoić potrzeby kulturalne swoje i dzieci. Czyż okrojona męzowska pensja wystarczy na wszystko przy liczniejszej rodzinie? A z chwilą, gdy chcemy, aby dziecko się kształciło, żeby było w miarę możliwości ubrane dostаточно, żeby korzystało z pism i czytelni, z teatru i radja, bo przecież to stanowi problem wychowania, to kształci, a rodzice też muszą w miarę możliwości korzystać z dobrodziejstw kultury, gdyż inaczej nastąpić może rozłam między dziećmi, a rodzicami. Czyż więc wystarczy jedna skromna pensja?

Dajmy na to, pracuje tylko ojciec, zarabiając tyle, że wystarcza jedynie na zaspokojenie minimum potrzeb życia codziennego. Redukuje się więc potrzeby kulturalne, powoli zaczyna się milknąć o pokarmie dla ducha. I wówczas siłą rzeczy światopogląd rodziców, a zwłaszcza matki, ogranicza się jedynie do własnego mieszkania, piwnicy i targu. Pisma, teatr i radjo wykreślone z użycia. Rzadko sięgnie po gazetę, znękana kłopotami, co jutro gotować na obiad, aby taniej kosztowało. Tak powoli, powoli wychodzi z wiru życia, staje się stetryczalą, nieciekawą i przykrą dla otoczenia, a zwłaszcza dla własnych dzieci. Te ostatnie, powróciwszy roześmiane ze szkoły, pragnęłyby podzielić się z matką swojemi zainteresowaniami i wrażeniami, pragnęłyby wywołać uśmiechy na ukochanych licach rodziców, zastawszy jednak stroskane twarze, opadają im skrzydła, polykając posiłek, gonią w wir kolegów, gdzie gwarno i wesoło. I tym sposobem mimowolnie wytwarza się luka, przepaść między

dziećmi, a rodzicami, spowodowana tylko matką, opływającą w dobrobycie, nie dbając o wydane na świat „kurczęta“, zdając je na opiekę niani, lub bony. Brak im w pogoni za uciechą czasu na wychowanie dzieci, dziś ciekawy bridge, jutro dancing, pojutrze herbatka „dobroczyzna“. I tak z dnia na dzień.

Są to ofiary dobrobytu, nie umiejące pogodzić obowiązków względem własnej rodziny z rozrywką, która oczywiście jest konieczna. A wszak przy dobrych chęciach wszystko pogodzić można. Biedne są także bogate dzieci, położenie ich jest doprawdy bardzo przykre i nie więc dziwnego, że dzieci zamożne, wychowane w zbytku, są miernotami w życiu, podczas gdy dziecko biedniejsze, ale życiowo zahartowane, wyrasta na dzielnego człowieka.

Reasumując powyższe, śmiem z całą stanowczością twierdzić, iż dzieci mieć powinni tylko tacy, którzy dokładnie zdają sobie sprawę z ciężaru i ogromu obowiązków, jakie ze zjawieniem się takiego małego obywatela na nich spadną. Obowiązek wychowania leży zarówno na ojcu, jak i na matce, wszak to wspólny owoc, dla czego więc tylko matka ponosić ma ciężary wychowania. I tylko dom rodzinny, tylko dobre zasady, wpojone od dzieciństwa, mogą podtrzymać ducha, nie czyniąc go głodnym. Wszak dom rodzinny to oaza, która krzepi w najcięższych cierpieniach i bólu, hartując ducha, nakazuje mu trwać i nie poddawać się życiowym odmętom.

Krasnystaw, dnia 28/X-1954 r.

Pola Pańłowska.

Taniej!
Wcześniej
W domu!

**NAJTAŃSZYM
w PRENUMERACIE**

wielkim dziennikiem stołecz. jest

**„Express
Poranny“**

Codziennie 8 — 10 — 12 wielkich
stronic ciekawych, barwnych,
żywo ujętych artykułów, opisów
feljetonów, informacji i wszech-
światowych wiadomości.

Liczne jedno i wielobarwne ilustracje.

PRENUMERATA MIESIĘCZNA
Z ODNOSZENIEM DO DOMU

tylko 3 zł. 60 gr.

Nową, rewelacyjną POWIEŚĆ

IRENY KRZYWICKIEJ
„WALKA z MIŁOŚCIĄ“

12 gr. dziennie

zamiast 20-stu

drukuje „Expres Poranny“ od 18-go
lutego. Nowi prenumeratorzy otrzy-
mują komplet dotychczas wydruko-
wanych odcinków tej powieści.

Adresy kantorów „Expressu Porannego“.
Warszawa, Jasna 10 lub Marszałkowska 3,
tel.: 8-02-40 i 693-72.

OGRODNICTWO I HODOWLA

JAKIE ODMIANY WARZYW WYSIEWAĆ?

Wiosna, a wraz z nią troska o ogródek jest już za progiem.

Zbliża się czas siewu nasion. Firmy ogrodnicze wystąpiły w tym roku z wielkimi i często ślicznymi katalogami. Właścicielka ogródka, zwłaszcza stawiająca pierwsze kroki na tym śliskim terenie, „łapie” katalog, myśląc z zadowoleniem:

— „No, stąd się przecie dowiem, jakie odmiany sobie wybrać”.

Niestety, po chwili staje zdezorientowana. Wszak każdej rośliny mamy dziesiątki odmian. Zalety zaś każdej odmiany wyrażone są w samych superlatywach. Jak tu wybierać?

Chcąc przyjść z pomocą w tym kłopotcie, podaję odmiany odporne na zabiegi dyktanta, jakim jest często właściciel ogródka, a jednocześnie dające warzywa w wysokim gatunku.

Cebula. Jeśli chodzi o szeroką uprawę na handel, to polecić można jedynie „Żytawską olbrzymią”, bo jedynie ta cebula daje się doskonale przechowywać i skutkiem tego ma duży pokup.

W amatorskim ogródku lepiej hodować słodką, nieostrą cebulę sałatową, „Płaską Maderę” oraz najwcześniejszą „Białą Królową” (odmianę amerykańską) — nadaje się doskonale również i do konserw.

Kapusty. Tych zaleca się hodować kilka odmian, aby mieć wczesne, a także późne do kwaszenia i takie, aby do wiosny dały się przechować w główkach w piwnicy.

Na najwcześniejszą zaleca się „Czerwocówkę najwcześniejszą” (już w końcu czerwca wiąże główki) oraz „Kopenhaską wczesną targową”. Obydwie te odmiany schodzą z grządek już w początku lipca.

Z odmian do kwaszenia polecam „Białą Warszawską” lub „Białą Ditarę”. Natomiast „Amgaer” i „Brunświcka” doskonale się przechowuje w piwnicy „na świeżo”.

Z kapust czerwonych sadzimy „Berlińską” i „Erfurcką” — obie odmiany późne, bo czerwona kapusta, jako jarzyna wiosenna, ma stosunkowo małe zastosowanie.

Z pośród odmian kapusty włoskiej najlepsze będą „Żelazna Głowa” i „Wiedeńska” (bardzo delikatna) oraz późna „Duńska eksportowa”.

Kalafjory należałoby hodować tak, aby je mieć przez całe lato, jesień i przynajmniej pół zimy.

Wczesne: „Śnieżna kula” (jest to odmiana inspektowa) i najwcześniejsza gruntowa „Erfurcka”.

Średnie: „Duńskie olbrzymie” —

o wielkich, ścisłych, białych, samokrywających się różach.

Z odmian *późnych* mamy „Frankfurckie olbrzymie” i „Standhalckie”.

Z pomiędzy odmian *marchwi*, jako najwcześniejsze hodujemy w inspektach „Karotkę paryską” najkrótszą. Później na najwcześniejszą gruntową siewemy „Holenderską” czerwoną krótką. Z odmian dobrze się przechowujących należy wymienić przede wszystkim „Półdługą Krakowską” i „Długą Czerwoną”.

Pietruszka najlepsza będzie „Chłuba Erfurtu”, bo daje duży, gładki korzeń i kędzierzawe liście, które świetnie się nadają do przybierania potraw. Wyśmienitą odmianą jest „Berlińska półdługa ulepszona”.

Z *buraków* jadalnych mamy Egipskie płasko-okrągłe, ciemno-czerwone. Te siał należy na użytek letniocienno, a na zapasy wiosenne najlepiej się nadają „Non plus ultra”.

Groszków wszelakiego rodzaju należałoby siał w ogródkach możliwie jak najwięcej i tak dobierać odmiany, aby stale był młody groszek.

Pierwszeństwo oddać należy grochom o ziarnie pomarszczonym. Te odmiany mają bardzo wielkie strąki i długo zachowują delikatny smak.

Najwcześniejszy z nich będzie „Cud Ameryki” (wyrasta na 30 cm.) W jakieś 10 dni później dochodzi „Daisy” — bardzo słodki.

Na zimowe konserwy uprawiać najlepiej jedną z najnowszych odmian: „Król Konserw”. Wyrasta do 120 cm. wysoko i ma duże strąki, pełne gładkich, zielonych ziaren, oraz „Sława Francji” (niski).

Z *fasoli tyczkowych* na pierwsze miejsce wysuwa się „Mont d'or”, o strąkach złoto-żółtawych bez włókien, o ziarnie brązowo-fioletowym. Tam, gdzie klimat jest ostrzejszy, polecić można „Błogosławieństwo Kuchni” — rodzi obficie duże, żółte strąki bezwłókniste.

Do obsadzania płotów, altanek i t. p. można bardzo zalecać odmianę „Papilio”, dostarcza bowiem dobrych strąków, smacznego ziarna i przybiera ogród swymi pięknymi kwiatami, które ukazują się w ciągu całego lata w tak dużej ilości, że liście są niemi zasłonięte. Kwiaty karminowe lub białe, ładnie przypominają kształty motyli.

Z *fasoli karłowatych* na pierwszym miejscu stoi „Hinrycha” zielona, bez włókien, o ziarnie małym, i „Chevrier” o zielonych strąkach.

Z *ogórków gruntowych* przede wszystkim „Excelsior” daje owoc jasnozielony, nie zółknący, z białymi kolcami; następnie „Przybyszewskie” — wspaniała, odporna

odmiana, bardzo płodna, oraz „Unicum” i „Monastyrskie”.

Kalarępe należy uprawiać „Wiedeńską wczesną”, a także „Goljat” — późna i „Goljat modra” (przechowuje się do nowej).

Pomidory: w gruncie „Lukulus” — jest to wyborna, bardzo wczesna odmiana, doskonała również na przetwory, bo ma dużo miąższu.

W okolicach bardziej oddalonych od ośrodka zbytu należy hodować „Tuckswood”; jest to odmiana wczesna, daje owoce jędrne, znoszące doskonale transport. Rośliny te są odporne na chłody i słoty.

Rzodkiewki. Do uprawy w inspektach zaleca się „Saksa purpurowa”; do gruntu — różowa z białym końcem, a także „Non plus ultra” i „Sopel lodowy”.

Selery. Wspaniała sałatowa odmiana „Alabaster”, daje duże, okrągłe, gładkie główki korzeniowe i nie podlega rdzy.

Na włoszczyznę może lepiej się nadaje odmiana, dobrze znosząca przechowanie w piwnicy: „Erfurcka targowa”.

Pory: „Francuskie wczesne” i „Brabanckie” późne, grube.

Kukurydza jest bardziej rozpowszechniona jedynie w Małopolsce. Jarzyna nadzwyczaj smaczna i szersze jej rozpowszechnienie przyczyniłoby się wydatnie do urozmaicenia naszych jadłospisów. Najlepszą odmianą będzie „Bydgoska” wczesna i „Cukrowa karłowa francuska”.

Szpinak wysiewać należy w odmianach: „Wiktorja”, „Eskimos” i „Juljana”, nie zapominając o szpinaku nowozelandzkim.

Melony. Nowością jest wyprodukowana w zeszłym roku wyśmienita odmiana „Melony gruntowe”. Dają się one hodować zupełnie w ten sam sposób, co zwykle dynie, i dają owoce może nieco mniej delikatne, niż odmiany inspektowo-cieplarniane, ale równie aromatyczne; skutkiem tego mogą się stać niezastąpione, jako surowiec na konserwy.

„Melony gruntowe” udadzą się na każdej słonecznej grządce, byle dobrze doprawionej, to też powinny się znaleźć w każdym ogródku.

Marzenna Saryusz-Stokowska.

P. Z. Chicińska — Raków. Cena 25 zł. za rasowego gąsiora, rasy pomorskiej nie wydaje nam się zbyt wygórowaną — jest to cena przeciętna. Może Sz. Pani zwróci się jeszcze do Centralnego Komitetu dla Spraw Hodowli Drobiu w Warszawie, ul. Kopernika 50, tam mają adresy wszystkich hodowców, zrzeszonych w związku. Może która z czytelniczek „Bluszczu” ma na zbyciu rasowe gęsi pomorskie.

WIOSNA W KURNIKU I LĘGI NATURALNE

Wiosna jest najważniejszą porą w kurniku. Od tego, czy hodowca będzie miał wczesne, silne kurczęta, zależy w znacznej mierze rentowność hodowli. Wiadomo bowiem, że najlepiej płacą jaja jesienno-zimowe, a te niosą wyłącznie kokoszki z marcowego i kwietniowego legu. Dzieje się to dlatego, że młode jednoroczne kury nie pierzą się równocześnie ze starymi, a więc nie zawieszają swojej produkcji jajowej.

Rasy lekkie, jak Leghorny i Zielononózki, możemy później wylęgać, niż rasy ciężkie np. Karmazyny. Ale i dla tych rację bytu ma wylęg najwyżej do połowy maja. Później warto jest wylęgać tylko materiał rzeźny.

Ostatnie badania wykazały, że największy procent jaj zapłodnionych (dochodzący do 95%) otrzymujemy od rozplodników, którym się do paszy dodaje duże ilości karmy zielonej. Na wsi nie wywołuje to żadnych trudności, ale w osiedlu podmiejskim nieraz trudno o zielsko (najlensze tu będą młode pokrzywy, mleczy i krwawnik), zastępujemy je wtedy skielkowanym owsem, siekaną kapustą świeżą lub kwaszoną, jarmużem, lub drobniutko siekaną marchwią i t. p. Dodatku „witamin“ w paszy dla kur lekceważyć nie należy.

Co się tyczy zadawania paszy, to kasujemy dawanie karmy miękkiej na ciepło, jak to czyniliśmy w zimie, gdyż byłoby to tylko niepotrzebne rozdzielanie.

W kurniku trzeba zrobić generalne porządki, usunąć nawóz, jeśli był dawany. Ściany wybielić, zalepiwszy wszystkie szpary.

Bielić najlepiej następującym roztworem:

20 l. mleka wapiennego,

1 l. nafty,

1/2 l. kreoliny,

1 kg. soli kuchennej,

1/2 kg. mąki ryżowej.

Okienko należy wymyć doskonale, grzędy oskrobać, wyszorować wodą z ługiem, lub zmienić zupełnie na nowe. Podłogę zmieść porządnie, sprawdzić, czy nie ma szpar, jeśli są, zalepić je kitem i wyszorować wodą z ługiem. Gniazda od jaj wyszorować i dać im świeżą podściółkę.

Kurki nasadzać w miejscach zacisznych, lekko przyciemnionych, gdzie hałas nie dochodzi. Na spód gniazda dać kawał darni, a na to dopiero grube siano. Nie podkładać kwoce jaj od razu, tylko dać najpierw podkładki gipsowe, a dopiero, gdy się dobrze rozsiedzi, dać jaja.

Przed nasadzeniem trzeba kwo-

kę doskonale oczyścić z wszelkich pasorzytów skórnych, jak np. piórojady lub ptaszyńce. W tym celu należy przed nasadzeniem i siódmego dnia przesiadywania wpylić kurze pod pióra flitu, proszku perskiego lub poprostu wapna wylasowanego na powietrzu. Obok gniazda kwoki powinno być zawsze naczynie z piaskiem i popiołem, aby mogła dowoli używać kąpieli. Żywić ją należy obficie czystym ziarnem, najlepiej mieszanką owsa, jęczmienia, pszenicy i kukurydzy w równych częściach. Świeżej wody nie powinno jej nigdy brakować. Pożywienie dajemy jej 2 razy dziennie, stale w tych samych godzinach.

Wyklutym kurczętom przez pierwsze 48 godzin nie dajemy absolutnie nic. Po upływie tego czasu podajemy im czystą wodę i sypiemy trochę piasku z drobno tłuczonymi skorupkami od jaj i węglem drzewnym. Ten dodatek mineralny jest zwykle chętnie jedzony i ułatwia piskletom trawienie. To też stale powinny go mieć pod dostatkiem. Jako pierwszy pokarm dajemy serek jajeczny, zmieszany z tartą bułką, w dwie godziny później zieleninę (możliwie delikatną, sałatę, szpinak, szczypiorek i t. p.), po upływie następnych 2 godzin drobna kaszę tatarską lub jaglaną i tak w czasie 1-go tygodnia dajemy te pasze co 2 godziny w takiej ilości, w jakiej kurczątko zdołają je zjeść w ciągu 15—20 minut, a resztki od razu usuwamy. Zielenina musi być za każdym razem świeżo rwana, bo nadwiędnięta jest szkodliwa.

Po upływie 7 dni przestajemy dawać serek jajeczny, ale do picia podaje się kwaśne mleko, serwatkę lub maślanę.

Jagły i kaszkę tatarską stopniowo zastępujemy srutą zbożową w następującej mieszance:

2 części owsa,

1 część jęczmienia,

1 część pszenicy,

1 część kukurydzy,

1/4 części konopi, siemienia lub słonecznika.

Mieszanki zadaje się tyle, wiele kurczęta w ciągu 15 min. zdołają zjeść. Wspaniale tu robi dodatek kilku kropli tranu, trochę odpadków z rzeźni lub kilka garści jakichś robaków.

Od 2 — 4-go tygodnia karmimy pisklęta 5 razy na dzień, od 4 — 6-go już tylko 4 razy. Sześciotygodniowe sztuki, w ten sposób żywione, powinny być oblepione mięsem i doskonale opierzone. Po tym terminie mogą być traktowane, jak stare kury. Gdyby pojawiła się u kurczątków biegunka, to wtedy jako podstawową karmę dajemy ryż gotowany na sypko, a do picia czystą wodę.

Pisklęta wylęgnięte w marcu przez pierwszy tydzień nie powinny być wogóle wypuszczane na powietrze, po tym czasie przyzwyczajamy je stopniowo do powietrza, wypuszczając z początku tylko w południe, potem na coraz to dłużej aż wreszcie na cały dzień, chroniąc je tylko przed wilgocią.

Nioski należy w tym czasie żywić obficie, pamiętając o tem, że kura jajek z powietrza nie robi. W tym czasie jest konieczny dodatek i to w sporej ilości karmy zielonej i zwierzęcej. Jeśli kura ma wolny wybieg, o tę karmę zwykle potrafi się sama postarać. Jeśli jednak przebywa w zamknięciu, to hodowca musi jej tego dostarczyć.

Na zakończenie kilka słów o sposobie odzwyczajania kwoki od siedzenia. Należy zbudować sześcienna klatkę o wymiarach 50 cm. × 50 cm. × 50 cm. z cienkich szczebli, umieszczonych co 3 cm. jeden od drugiego. Wsadzić kurę do takiej klatki i powiesić gdzie wysoko. Chodzi o to, aby kura nie mogła w owej klatce ustać, tylko musiała się kręcić. Po kilkudniowym (trzy, najwyżej cztery dni), a czasem już po kilkogodzinnym pobycie w takim wieszaniu kury przestają kwoczyć i przechodzą zpowrotem do produkcji jajowej.

Raz jeszcze zaznaczam, że o powodzeniu i rentowności hodowli kur decyduje w głównej mierze marzec, kwiecień i maj.

Marzenna Saryusz-Stokomska.

ODPOWIEDZI DZIAŁU OGRODNICZO-HODOWLANEGO.

P. Z. Szczęśliwiecka, Warszawa-Grochów.

Aby przyspieszyć wzrost ogórków inspektowych, trzeba podlewać je co tydzień roztworem soli potasowej i superfosfatu. Bierze się 15 gr. soli potasowej 40 proc. i 45 gr. superfosfatu i to rozpuszcza w 10 l. wody.

Sztuczne nawozy pod cebulę działają doskonale. Na każdy 1 ar. przestrzeni dać następujący nawóz: 2 kg. 40 proc. soli potasowej, 5 kg. superfosfatu i 2 kg. siarczanu amonu. Nawóz potasowy dać jak najwcześniej, przynajmniej na 2 tygodnie przed siewem.

Pod kalafjory nawozy sztuczne stosuje się następująco: na każdy 1 ar. przestrzeni 5 kg. superfosfatu, 5 kg. 40 proc. soli jadalnej, 4 kg. siarczanu amonu. Nawóz dać na 14 dni przed sadzeniem. Następnie w 6 tygodni po sadzeniu 20 kg. soli potasowej i przy pogodzie 6 kg. saletry jako nawóz pogłówny w kilku dawkach.

Aby zasilić palmy, nie przesadzając ich, należy kupić gotowy „nawóz pod palmy“ w którejś z solidnych firm ogrodnich. Można go i w domu przyrządzić w następujący sposób: zmieszać 14 gr. 40 proc. soli potasowej, 20 gr. superfosfatu, 20 gr. saletry chilijskiej i to rozpuścić w 10 l. wody. Roztworem tym polewać samą ziemię 2 razy na tydzień.

DOM I GOSPODARSTWO

ABSURD CZY HIGJENA

Znam matkę, która, podróżując z kilkoletnim synkiem, wozila ze sobą butelkę wody karbolowej, „dezynfekowała“ wewnątrz wagonu (jeździła zawsze pomimo bardzo pomyslnych warunków materialnych trzecią klasą, jako łatwiejszą do dezynfekowania), zmywając ściany i ławki, a w pokojach hotelowych, czy pensjonatach kazała przeprowadzać przy sobie drobiazgową dezynfekcję, zanim wprowadziła do nich dziecko.

Znam i takie matki, które pakują dzieciom drugie śniadania w kawałki gazety, nie obejmują regulaminem domowym obowiązkowego mycia rąk po powrocie ze szkoły do domu i przed zasiadaniem do stołu jadalnego, a już o podstawowym, wieczornym myciu, jako „obowiązk“, nie wyrażają się inaczej, jak z daleko idącą tolerancją.

Nasuwa się tutaj pytanie:

— Co lepiej? Czy stać się chimerycznym niewolnikiem wskazań higienicznych, wietrzyć niebezpieczeństwo na każdym kroku, czy też żyć w imię ukochanej polskiej zasady „jakoś to będzie!“.

Nietylko *lepiej*, ale i *najlepiej* obrać sobie za busołą złoty środek i, nie wpadając w przesadę, wyznawać jednak wskazania higieniczne tak ściśle związane z biegiem dnia powszedniego, inaczej, dopuścić do głosu „higjenę dnia codziennego“.

Praktyki dyktowane jej władczym autorytetem rozpoczynają się z chwilą uwolnienia powiek od ciężaru snu. Rozpoczynają się z chwilą przebudzenia.

Grzechem, śmiertelnym grzechem, przeciwko higjenu jest np. spożywanie śniadania w łóżku bez uprzedniego zrobienia rannej toalety (umycie twarzy, rąk, wypłókanie ust) i wywietrzenia pokoju sypialnego. Takim samym grzechem będzie zarzucenie na siebie ranne-go neglizżu „wprost z łóżka“ i udanie się bez zahaczenia o łazienkę, czy umywalnię, do oczekującego na nas warsztatu pracy domowej: szykowanie pierwszego śniadania, drugich śniadań, zabieranych do szkoły, czy pracy, wreszcie spożywanie samej śniadania.

Krocząc po tej ścieżce, brukowanej grzechami przeciwko higjenu, napotykamy w pierwszym rzędzie nieracjonalnie traktowane i nieprawidłowo ujęte funkcje: wietrzenia mieszkania i ślania łóżek.

Wietrzy się zwykle w sezonach zimnych niedostatecznie. Czy dlatego, że nam żal ciepła, czy, że opatrzone okna utrudniają ich otwie-

ranie, czy też z lęku przed przeciągami, czy poprostu z nieświadomości, która w tym wypadku, wbrew przysłowiu, poważny grzech czyni.

A łóżka? Łóżka ścielą się zazwyczaj naprędce, bez przestrzegania koniecznego wystawienia odkrytej pościeli na działanie światła i powietrza co najmniej na przeciąg 15 — 30 minut. Poza to do łóżka „podchodzi“ się w takiej formie, jaką narzuca okoliczność.

Służąca sprząta w fartuchu od sprzątania, czasem bez fartucha, w sukience roboczej; rękami, którymi dopiero co ścierała kurze, szyczała dywany, zbierała śmiecie na śmietniczkę, albo zmywała tłuste naczynia, bierze się do ślania łóżek.

Przeciętny bieg rzeczy to szybkie, dosyć niedbałe „zasłanie“ rozrzuconej pościeli i szelne okrycie jej wierzchnią powłoką kapy, albo też wtłoczenie par force do czeluści, czy szuflady tapczana.

Tymczasem pościel musi być co rano swobodnie rozrzucona po łóżku i *musi oddychać* przy otwartym oknie, świeżem powietrzem dłuższą chwilę, inaczej magazynuje w sobie pot, zapomocą którego organizm wydziela przez pory skóry zbędne mu i szkodliwe balasty.

Pozatem co najmniej raz na tydzień trzeba uwolnić pościel od wierzchniej powłoki (bielizny) i, ułożywszy ją na kilku zestawionych krzesłach, rozpostrzeć jedną warstwą w otwartych drzwiach balkonowych, w otwartym oknie, a najlepiej na otwartym powietrzu (o co w mieście nie tak łatwo). W czasie takiego „zasadniczego“ wietrzenia obracamy ją kilkakrotnie z jednej strony na drugą, aby się równomiernie nasykała świeżego powietrza.

Zabiegiem uzupełniającym tę prawidłową kulturę łóżka będzie oczyszczenie pościeli odkurzaczem, a w braku niego trzepanie jej chociażby raz na miesiąc.

Bieliznę najmilej byłoby móc zmieniać raz na tydzień (w łóżeczkach dzieci jest to nieodzowne), jednak dzisiejsze warunki nie pozwalają na taki luksus, to też przesunęmy terminy „przewlekania“ od dwóch do trzech tygodni, uważając ten ostatni nie za normalny, a za smutną konieczność.

Wszystkie zabiegi dokoła łóżek i pościeli muszą być wykonane w czystym ubraniu, z głową osłoniętą czepeczką, lub białą chusteczką, rękami świeżo i starannie umytemi.

„Czeluście“ tapczanów powinny być wysłane płótnem, przymocowanym tak, aby odgrywało uczciwie swoją rolę osłony. Płótno niech

chroni pościel od spodu, z wierzchu i z boków. Płótno musi być wytrzepywane z kurzu i prane, jeżeli ma rzeczywiście stać się posłannikiem higjenu.

A jak się ścielą łóżka?

Solidne ślanie z przewracaniem materacy na drugą stronę, równaniem i mocnem „obtykaniem“ ich prześcieradłami, wzruszaniem poduszek, to funkcja ranna. Wieczorem odsłania się łóżko, odrzuca koldrę na jego poręcz i pozostawia tak otwarte w czasie wietrzenia pokoju przed spaniem, co nie może być pominięte. Nocna bielizna nie powinna być nigdy „wścielana w łóżka“. Niech wisi w łazience, garderobie, czy umywalni swobodnie, aby się mogła odświeżyć przed ponownym włożeniem.

Teraz przechodzimy do kuchni i produktów spożywczych wogóle. Tutaj higjena jest najżywoźniejszym z obowiązków, a równocześnie obowiązkiem najbardziej pomijanym.

Przedewszystkiem przynoszenie zakupów z miasta nie jest ujęte w żadne racjonalne ramy. Nasza pomocnica bierze koszyk „od miasta“ i znosi w nim wszelakie dobro spożywcze w jak najdalej idącym urozmaiceniu. Mięso, zawinięte bylejak, tuli się do osypanych ziemią kartofli, na nich spoczywa bochenek chleba, a pod samym spodem kryje się masło, jako pierwszy numer zakupów. Wanilji szuka się po całym koszyku. Rozpacz. Papierek jest od niej, bo pachnie rewelacyjnie. Wanilji nie ma. Okazuje się, że ukryta zdradziecko pomiędzy rumianą marchewką i swoście wonną cebulą walczy z niemi o pierwszeństwo barwy i zapachu.

Zawartość koszyka wyrzuca się na stół i czerpie z niej, zależnie od potrzeby, materiał przetwórczy, który ma stać się błogosławieństwem naszego organizmu.

Pierwszą elementarną sanacją w dziedzinie prowadzenia domu będzie wyposażenie gospodarstwa w specjalny woreczek do pieczywa, i to nie jeden, a co najmniej dwa, aby pranie nie komplikowało normalnego biegu rzeczy. Bułki i chleb w ogólnym koszyku, albo w gazetce, to niedozwolone.

Bańka do mleka musi być zaopatrzona w przykrycie, a codziennie, natychmiast po opróżnieniu, wypłókana wodą zimną, potem wodą letnią i wreszcie po uwolnieniu jej od pozostałości mleka, wyparzona ukropem, przykryta i postawiona na miejscu.

Kartofle i warzywa, jeżeli kupujemy je w codziennych, małych dawkach, niechże mają koszyk

specjalny i nie wchodzi w zetknięcie z mięsem, masłem, serem i innymi produktami.

Wiemy o tem, że „koszyk“, w jaki uzbrojona jest nasza pomocnica, zwalnia kupców od obowiązków starannego i solidnego pakowania produktów. Wykupują się skrawkiem papieru, rzadko kiedy wystarczającym za prawidłową osłonę. To też trzeba wglądać w te sprawy, stawiać swoje bezapelacyjne żądania i przestrzegać ich obserwowania.

Wanda Dobrzańska.

PRZEPISY GOSPODARSKIE

POŚCIMY.

ŻUR ŻYTNI DOMOWY.

Wsypać w kamienny garnek polewany mąki żytniej razowej, zalać letnią wodą przegotowaną, dając na każde czubate 4 łyżki mąki, szklaną wodę. Zawiązać garnek papierem, który trzeba ponakłuwać szpilką, by powietrze miało dostęp. Postawić w ciepłe. Po trzech dniach kwas jest gotów do użytku.

Żur, czyli barszcz żytni, można przyrządzać w dwojaki sposób: czysty i zabiela-ny.

ŻUR CZYSTY.

Zagotować wodę, dodając dwa listki bobkowe, kilka ziaren ziela angielskiego, kilka ziaren pieprzu, cełą cebulę, przekrojoną na cztery części. Posolić do smaku. Gotować pół godziny na wolnym ogniu, pod przykryciem. Przecedzić. Zaprawić kwasem żytnim do smaku, zlewając kwas z garnka do rondla przez bardzo gęste sitko. Okrasić drobno krajaniem skwareczkami słoniny i jeszcze raz zagotować.

ŻUR ZABIELANY.

Przygotować żur, jak powyżej. Na wydaniu zaprawić młodą kwaśną śmietaną. Nie krasić słoniną. Do żuru, zarówno czystego, jak zabielanego podaje się kartofle tłuczone.

BULJON Z GROSZKIEM I KLUSECZKAMI Z NALEŚNIKÓW.

Usmażyć naleśniki z jednego jajka (powinno wyjść 6 sztuk), gdy ostygną, zwiąć każdy oddzielnie w ciasny rulonik, krajać ostrym nożem w cieniutkie paseczki. Przyrządzić buljon na podstawie smaku z jarzyn, dodać kilka łyżek groszku zielonego (z puszki, albo z Wecka), przepłókanego zimną wodą i kluseczki z naleśników. Raz zagotować. Dodać, już w wazie, trochę surowego masła deserowego. Wymieszać. Podawać bardzo gorący.

RYŻ Z SARDELAMI.

Wlać na dno ogniotrwałej rynki łyżkę buljonu, dodając kawałek masła deserowego. Rozprowadzić po dnie rynki. Ułożyć warstwę ryżu, ugotowanego na buljone bardzo sypko. Na warstwie ryżu dać

warstwę oczyszczonych i wypłókaných sardeli, znów warstwę ryżu i znów sardele. Wierzchnia warstwa powinna wypaść z ryżu. Na pół godziny przed wydaniem na stół wlać kilka łyżek buljonu z masłem, ustawić rynkę na patelni z gorącą wodą, wsunąć do dobrze gorącego pieca, przykrywając ryż zwierzchu, aby się nie zrumienił.

SZCZUPAK FASZEROWANY.

Dużego szczupaka (wagi około dwóch kilogramów) oprawić, doskonale wymyć zimną wodą. Osączyć. Odciać głowę i zdjąć bardzo ostrożnie skórę z całej ryby, starając się nie przedziurawić skóry. Mięso oczyścić z ości, posiekać. Namoczyć dwie bułki w mleku, doskonale odcisnąć. W międzyczasie upiec w piecyku 2 duże, albo 5 średnie cebule, upieczone prze-fasować przez sito. Utrzeć łyżką drewnianą na misce 2 czubate łyżki masła, w utarte wbić 1 całe jajko i 2 żółtka, ucierać jeszcze 10 minut, dodając cebulę i odcisniętą z mleka bułeczkę. Wyrobić masę z siekaną rybą, posolić do smaku, wsypać trochę białego pieprzu mielonego. Napelnić farszem skórę od ryby, zaszyć, nadając jej kształt całego szczupaka. (Zaszywać miękką, białą bawełną).

Wyłożyć dno głębokiej brytfanki cienko szatkowaną włoszczyzną z obfitym dodatkiem cebuli, dodać 10 dkg. masła, podlać kilkoma łyżkami wody. Ułożyć rybę na jarzynkach, przykryć szczelnie brytfankę i dusić godzinę na wolnym ogniu, obracając ostrożnie, aby ryby nie uszkodzić. Wydawać na stół pokrajaną w plastry, i garniowaną jarzynkami duszonymi, oddzielnie kluseczki krajane kraszone masłem.

JAJKA FEDORA.

Przesmażyć, nie rumieniąc, dobrą łyżkę masła z czubatą łyżką mąki pszennej, rozprowadzić pół szklanką mleka i pół szklanką młodej, kwaśnej śmietany, soląc przed zagotowaniem, bo inaczej sos nie będzie gładki. Do gotowego, gęstego sosu dodać trochę siekanych (duszonych w maśle z sokiem cytrynowym) pieczarek. Dowolną ilość jajek ugotować „w koszulkach“, to znaczy, wybijać ostrożnie jajka, aby nie uszkodzić żółtek, na wrzącą wodę zakwaszoną octem i posoloną. Gotować tak długo, dopóki białko się zupełnie nie zetnie. Jajko powinno być tak sztywne, aby się dało wziąć do ręki, jednak żółtko musi pozostać miękkie.

Wyjmować jajka z wody płaską łyżką durszlakową, osączyć na sicie. Każde jajko umaczać w gęstym sosie pieczarkowym i układać na półmisku, wysypanym grubą warstwą tartej bułeczki. Gdy jajka zastygną, maczać je w rozbitym jajku, skraćzać w bułeczce tartej i smażyć na złoty kolor na bardzo gorącym tłuszczu. Podawać na okrągłym półmisku. Oddzielnie sos pieczarkowy, doprawiony sokiem cytrynowym.

SLEDZIE MARYNOWANE.

Wymyć w kilku wodach śledzie, ułożyć w obszernym naczyniu, zalać zimną wodą,

dodając odrobinę sody dla zmiękczenia wody. Moczyć 12 godzin. Wyjąć z wody, przepłócić na płask, zdejmując z ości, oczyścić ze skórki i drobnych ości. Ikrę odrzucić, a mleczko ułożyć razem ze śledziami w naczyniu, w którym się moczyły. Zalać mlekiem i pozostawić tak znów na 12 godzin. Po upływie tego czasu wyjąć śledzie z mleka, wypłókać kilkakrotnie, osączyć. Układać w słoju kamiennym, albo szklanym, warstwami, przesypując krajaną w plastry cebulą (cebule po pokrajanii sparzyć) i kaparami.

Sos do zalania śledzi przygotować w następujący sposób: Upiec kilka jabłek, prze-fasować przez sito razem z mleczkami od śledzi. Przetłoczyć potrzebną ilość octu z liściem bobkowym, pieprzem, zielem angielskim. Wystudzić. Rozprowadzić octem marmoladę z jabłek i mleczek, dodać kilka łyżek oliwy, trochę musztardy, wszystko razem doskonale wymieszać. Zalać śledzie, zawiązać pergaminem. Po upływie 2 — 3 dni są już gotowe do użycia.

KOŁDUNY ZE ŚLEDZIEM.

Przyrządzić farsz z gotowanych grzybków suszonych, śledzia, doskonale wymoczonego i prze-fasowanego przez sito, bułeczki tartej, duszonej w maśle cebulki i 1 jaja surowego. (Wziąć: 10 dkg. grzybków, 1 śledzia, 1 cebulę średnią, 1 jajko, 2 czubate łyżki bułki tartej). Zagnieść ciasto z pół kg. mąki, 2 jajek, 1 żółtka, łyżeczki masła i trochę letniej wody. Rozwałkować cienko. Wykrawać małe krążki, napelniać farszem, zlepiać tak, jak pierożki. Podawać kraszone masłem z cebulką. Można podać oddzielnie sos gęsty pomidorowy. Z pozostałego ciasta zrobić kluseczki krajane i podać razem z pierożkami.

SURÓWKA Z PŁATKÓW OWSIANYCH.

Proporcja: 1 łyżka płatków owsianych, 3 łyżki zimnej wody surowej, 2 łyżki mleka skondensowanego, 2 jabłka winkowate średniej wielkości, 1 łyżka orzechów włoskich, 1 łyżka migdałów słodkich mielonych.

Wsypać płatki owsiane na szklaną salaterkę, zalać wodą, przykryć. Pozostawić w chłodzie na przeciąg 12 godzin. Po upływie tego czasu zemleć na młynku orzechy włoskie i migdały (jedne i drugie sparzone i obrane ze skórek), utrzeć na szklanej tarczy jabłka, czysto umyte, nieobierane i niewydrążane (w całości). Dodać do płatków dwie łyżki mleka skondensowanego, wszystkie wyżej wymienione dodatki, wymieszać. Podawać zimne. Jest to proporcja na jedną osobę.

Surówka z płatków owsianych doskonała i orzeźwiająca w smaku, posiada podług obliczeń naukowych całkowitą zawartość potrzebnych do racjonalnego odżywienia organizmu, kaloryj. Spożywana w wyżej podanej ilości rano i wieczorem, zamiast śniadania i kolacji (porcja objęta proporcją na raz) uzupełniona lekkim, jarskim obiadem, jest niezastąpionym daniem w czasie kuracji, mającej na celu usprawnienie przemiany materji.

Melba.

Komitet Kobiety budowy samolotu im. Żwirki i Wigury na Challenge 1954 r., rozwija godną uznania działalność. Żywa agitacja wśród świata kobiecego i młodzieży szkolnej znajduje serdeczny oddźwięk. Z groszowych niekiedy składek zbierano już poważną sumę i Komitet wierzy głęboko, że dalsze składki napływać będą.

Pozatem Komitet urządza imprezy artystyczne i rozrywkowe na budowę polskiego samolotu. Jedną z najpiękniejszych, najbardziej godnych widzenia będzie pantomina dnia 6 marca w teatrze Wielkim w wykonaniu najwytworniejszych pań z towarzystwa. Pantomina, precudna bajka wschodnia „Sinobrody i jego 7 żon“ w opracowaniu M. Pawlikowskiej i Ober-tyńskiej, będzie najpiękniejszym widowiskiem sezonu.

Nietylko cel, ale i piękno widowiska ściągają tłumy publiczności do Teatru Wielkiego na dzień 6 marca.

„OSIEDLE“ ROZSZERZYŁO AKCJĘ DOŻYWIANIA.

Komitet nad mieszkańcami Osiedli miejskich „Osiedle“, dożywający w swoich kuchniach na Żoliborzu, Polusie, Annapolu i Targówku dzieci bezrobotnych, postanowił ostatnio, wobec zwiększającej się nędzy, rozszerzyć swoją akcję.

Do tej pory Sekcja Dożywiania, prowadzona dzielnie przez P. Kirstową, wydawała obiady (zupy na mięsie i chleb) jedynie dzieciom. Teraz Przewodnicząca „Osiedla“, Pani Marszałkowa Piłsudska, uwzględniając wzrastającą w miesiącach zimowych nędzę mieszkańców osiedli, zaleciła, aby również dożywiano dorosłych, zwłaszcza starców.

Cyrowo przedstawia się to tak, że z dniem 5-tego lutego na wszystkich osiedlach, którymi opiekuje się Komitet, ilość dożywianych zwiększyła się o 1595 osób, czyli, że ogólny stan liczebny dożywianych wynosił w tym dniu 8346 dzieci i dorosłych.

Zaznaczyć tu należy, że ilość dożywianych zwiększa się z dnia na dzień, przy czym Komitet kieruje się również troską o stan zdrowotny osiedli miejskich, gdzie, wskutek natłoczenia ludności w ciasnych izbach, łatwo o wybuch epidemji. Niedostatecznie odżywiani łatwiej ulegają chorobom, to też Komitet mimo braku środków wyteża całą swoją energję na akcję zapobiegawczą.

Ogromny wysiłek Komitetu „Osiedle“ nie powinien ująć uwagi społeczeństwa, które nietylko z pobudek humanitarnych, ale i dla dobrze zrozumiałej konieczności zwalczania epidemji niewątpliwie poprze akcję „Osiedla“. Ofiary w pieniądzech i w naturze należy przysyłać na adres „Osiedla“, Marszałkowska 155, względnie zgłaszać telefonicznie na Nr. 246-78.

Przy Unji związków zawodowych pracowników umysłowych powstał przed pół rokiem wydział kobiety, który grupuje przedstawicielki pracowniczek różnych zawodów, dotychczas nie posiadających własnej centrali, lecz należących do związków mieszanych, wchodzących w skład Unji.

Pragnieniem wydziału jest zgrupować w swem gronie przedstawicielki możliwie największej liczby organizacji zawodowych kobiecych i mieszanych, aby móc skuteczniej, niż to działo się dotychczas, gdy organizacje te nie miały centrali, bronić swych praw kobiet pracujących i przedstawiać czynnikom miarodajnym warunki ich pracy.

W programie wydziału wysunięto przedewszystkiem: 1) przeciwdziałanie bezrobociu kobiet; 2) organizowanie zawodów i nowych placówek pracy kobiecej; 3) akcję propagandową za obroną praw kobiety pracującej.

Wydział współpracuje z Instytutem oświaty pracowniczej, który bada rynek pracy i organizuje przeszkolenie pracowników z zawodów przepiętnionych do pracy w nowym zakresie, lub nowymi metodami.

Pozatem wydział opracował i rozesłał członkiniom zrzeszeń, należących do Unji, ankietę w sprawie pracy kobiet, jej warunków i t. p.

Jak dotąd do wydziału należą delegatki 15 związków mieszanych.

ANKIETA O PRACY KOBIET.

Wydział kobiety przy Unji Związków Zawodowych Pracowników Umysłowych w Warszawie (Marszałkowska 87, telefon 9-65-66) rozpiął następującą ankietę, pragnąc zdobyć szeroki materiał informacyjny dla rozważań nad projektami organizacji współpracy kobiet pracujących zarobkowo.

- 1) Miejscowość (miasto, województwo).
- 2) Wiek, stan cywilny: panna, mężatka, wdowa, separowana, rozwiedziona).
- 3) a) wykształcenie (domowe, niższe, średnie, wyższe, zawodowe); b) ukończone zakłady naukowe (jakie?).
- 4) Stan rodzinny, ilość osób na utrzymaniu.
- 5) a) zawód, w którym pracuje; b) zawód, w jakim najchętniej pracowałaby; c) czy zajęcie odpowiada uzdolnieniu i wykształceniu?
- 6) a) zatrudniona, czy bezrobotna; b) od jak dawna pracuje, lub nie pracuje?
- 7) Rodzaj instytucji, w której pracuje (przedsiębiorstwo, handlowe, kredytowe, przemysłowe i t. d.).
- 8) a) w jakiego rodzaju przedsiębiorstwach pracowała; b) ilość lat przepracowanych.
- 9) a) wysokość uposażenia; b) od jak dawna nie awansuje; czy wykonuje prace, odpłacane niewspółmiernie od wykonywanej czynności (wynagrodzenie równorzędnego kolegi biurowego).

10) Czy może zrównoważyć swój budżet?

11) a) czy posiada kwalifikacje na stanowisko kierownicze? b) czy podjęłaby się pracy na stanowisku kierowniczym?

12) Czy przekłada pracę zarobkową, czy też zajęcie się gospodarstwem domowym i wychowaniem dzieci.

13) Czy uważa, że mężatka powinna pozostawać na utrzymaniu męża, czy samodzielnie zarobkować. Jeżeli tak, to dlaczego?

14) Jakie jest ustosunkowanie się do instytucji, w której pracuje — z jakiego powodu takie, a nie inne. Co w pracy najbardziej uraża, jakie warunki w pracy najboleśniej dają się we znaki?

15) a) przynależność do organizacji; b) spełnianie czynności w związku.

16) Jakie są w/g Sz. Koleżanki przyczyny kryzysu psychicznego, który powoduje zniechęcenie, bierność, nieufność w stosunku do organizacji zawodowych.

17) Czy stowarzyszona uważa za celowe podjęcie prac przez Wydział Kobiety Unji i czy gotowa jest poprzeć jego usiłowania poprawy bytu kobietom pracującym i w jakiej formie.

18) Jakich tendencji należałoby w Wydziale Kobiecym unikać jako szkodliwych, w jakim, według jej zapatrywań — kierunku prace prowadzić.

19) W jakiej dziedzinie podjęłaby się współdziałania z Wydziałem Kobiecym.

Wszystkie kobiety pracujące proszone są o nadsyłanie odpowiedzi i o propagowanie tej ankiety między swymi znajomymi. Im więcej zbierze się informacji, tem łatwiej będzie dalszą akcję prowadzić, a leży to przecież w interesie każdej pracowniczki.

KSIĄŻKI NADEŚLANE DO REDAKCJI

Cypryana Norwida Inedita. 1. Pierścień Wielkiej Damy, tragedji w trzech aktach. 2. Rozprawki epistolarne. Wydał z autografu Zenon Przesmycki. Warszawa — MCMXXXIII. Edycja z funduszu wydawniczego Leopolda Wellisza. Skład główny w księgarni Mortkowicza.

Stanisław Młodożeniec: „Gamy i pejzaże“. Warszawa 1934. Nakł. wydaw. „Wakopy“.

Aureli Drogoszewski: „Eliza Orzeszkowa 1841—1910“. Warszawa. Staraniem i nakładem Towarzystwa imienia Elizy Orzeszkowej.

Kamilla del Soldato: „Kryształowy dom“, powieść dla panienek. Z upoważnienia autorki przełożyła Elesta. Nakładem księgarni łódzkiej „Czytaj“.

Ela Romańska: „Va“. Nakładem autorki. 1935.

80
groszy

RAKIETA

Miesięczny magazyn bogato ilustrowany. Nauka, wiedza, wynalazki, sport, teatr, sztuka, nowela, humoreska, film, konkursy, nagrody. 48 stron druku.

RAKIETA

80
groszy